MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 46. WARSZAWA, 28 PAŹDZIERNIKA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

FRANCJA i WŁOCHY

IDZIE ku porozumieniu między Francją a Włochami. Zapowiedział je w swem ostatniem przemówieniu medjolańskiem Mussolini, zrobił doń wyraźną aluzję, w swej mowie na pogrzebie Barthou, premjer francuski p. Doumergue.

Nie sądzę, by tragiczne wypadki marsylskie zamiary te unicestwiły, mogą je conajwyżej odroczyć. Regencja jugosłowiańska — jak to już dziś stwierdzić można — będzie kontynuowała politykę króla Aleksandra, a następca zamordowanego ministra francuskiego, p. Laval, będzie prowadził dalej linję polityki zagranicznej, wytkniętą zgodnie przez p.p. Doumergue'a i Barthou.

Wypada wobec tego poświęcić nieco uwagi ewolucji stosunków między Włochami a Francją, gdyż wpłynie ona poważnie na dalszy bieg polityki europejskiej.

*

Zagadnieniem głównem polityki zewnętrznej Francji jest bezpieczeństwo granicy wschodniej na przestrzeni między Alpami a morzem północnem. Tu tylko nie ma Francja granic naturalnych, stąd szły w ciągu ostatnich lat stu najazdy niemieckie. Przy zawieraniu pokoju po ostatniej zwycięskiej wojnie główną troską Francji było zabezpieczenie granicy wschodniej. Foch domagał się granicy wojskowej na Renie; osiągnąć się tego jednak nie dało, bo sprzeciwili się temu stanowczo prezydent Wilson i p. Lloyd George, a zresztą takie załatwienie kłóciło się zbyt poważnie z panującemi w owym czasie poglądami i z ideologją ludzi, którzy stali na czele polityki francuskiej. Zadowolono się gwarancjami pisanemi W. Brytanji i Stanów Zjednoczonych, lecz i te gwarancje rozchwiały się, gdy Stany nie ratyfikowały Traktatu Wersalskiego. Zagadnienie bezpieczeństwa granicy wschodniej zostało otwarte; to też widzieliśmy, jak polityka francuska usiłowała w ciągu lat piętnastu zyskać owe gwarancje bezpieczeństwa.

Cały system polityki briandowskiej, oparcie się o Genewę, pakty lokarneńskie, pakt Kelloga, pomysły unji europejskiej, projekty paktu wschodniego — wszystko to miało służyć zdobyciu gwarancyj bezpieczeństwa na wschodzie przez różne zobowiązania międzynarodowe i pakty pisane.

Próbowano rozwiązać naczelne zagadnienie polityki francuskiej sposobem „nowym", sądzono, że da się ominąć sposoby dawne — posiadanie sił zbrojnych i sojusze. Uwierzono tak dalece w możliwość zyskania gwarancyj pisanych, że lekkomyślnie wypuszczono z rąk realne i pewne zabezpieczenie, jakiem była okupacja Nadrenji.

Dziś widać już z całą jasnością, że możliwość zagwarantowania sobie bezpieczeństwa na wschodzie drogą paktów, protokułów i temu podobnych aktów była ułudą. Stąd nawrót do dawnych, starych, wypróbowanych w przeszłości metod. Nawrót ten był treścią polityki p. Barthou; będzie on — jak świadczy o tem wspomniane powyżej przemówienie p. Doumergue'a — nadal treścią polityki francuskiej...

Myśl kierowników tej polityki zwraca się ku siłom własnym i sojuszom. Wśród tych sojuszów zaś niewątpliwie miałby największe znaczenie sojusz z Włochami.

O niego zadbać należało zaraz po wojnie i konferencji pokojowej. Jeśli się to nie stało, to liczne są po temu przyczyny. Do najważniejszych należy antagonizm francusko - włoski na morzu Śródziemnem i w Afryce północnej, oraz sprzeczność ustrojów politycznych i antagonizm ideologij sfery rządzącej w dwu państwach łacińskich. Francja posiada całe imperjum w Afryce i nie chce nic z niego uronić, ani ustąpić. We Francji największy wpływ na politykę ma wolnomularstwo,

walczące z temi zasadami, które głosi nacjonalistyczny ruch faszystowski. Widzieliśmy też, że po stronie francuskiej nietylko nie ujawniały się tendencje zbliżenia do Włoch w ciągu ostatniego piętnastolecia, lecz był szereg wystąpień niechętnych ze strony wybitnych polityków francuskich (Paul Boncour).

W okresie przewagi systemu genewsko-lokarneńskiego w polityce francuskiej nie myślano o sojuszach wogóle, a poglądy Mussoliniego na Ligę Narodów uniemożliwiały współpracę z nim na terenie genewskim i w ramach systemu briandowskiego. Dopiero wypadki, które nastąpiły we Francji naskutek afery Stawiskiego, dopiero krwawa manifestacja żywiołów narodowych w dn. 6 lutego w Paryżu zachwiały przewagą masonerji, doprowadziły do powołania rządu p. Doumergue'a i wytworzyły grunt, na którym stała się możliwa polityka p. Barthou, polityka nawrotu do realizmu, do dbania o siły własne i o sojusze. To musiało doprowadzić w konsekwencji do myśli o zbliżeniu i porozumieniu z Włochami.

*

Włochy nie dotrzymały zobowiązań, jakie na nie nakładało Trójprzymierze, co więcej, stanęły do walki obok koalicji antyniemieckiej. Ten fakt świadczy o tem, jak silne są węzły interesów dziejowych, łączące Włochy z Francją; to pozostawiło także wspomnienia braterstwa broni, których lekceważyć nie można.

Piszący te słowa mógłby przytoczyć cały szereg świadectw na to, że Mussolini pragnął porozumienia z Francją od początku swego przyjścia do władzy. Lecz nie spotkał się po pierwsze z analogicznemi dążeniami po stronie przeciwnej, a następnie mógł to porozumienie uważać za korzystne dla Włoch tylko na pewnych warunkach.

Podobnie, jak naczelne zagadnienia polityki francuskiej są na Renie, tak naczelne zagadnienia polityki włoskiej są na morzu Śródziemnem i na wybrzeżach Afryki. Włochy zyskały naskutek wojny ostatniej swe naturalne granice na północy. Obecnie, oparłszy się plecami o Alpy, muszą one zwracać swój wzrok na morza i na kraje, leżące poza temi morzami. Nietylko ze względu na bezpieczeństwo swych długich granic morskich, lecz także ze względu na wielki przyrost ludności (pół miljona rocznie) i zagadnienie surowców. Włochy potrzebują przestrzeni dla nadmiaru swej ludności i wpływu na kraje, z których mieć mogą surowce. Tymczasem na lądzie afrykańskim, który nieomal widać z południowych brzegów Sycylji, zjawiły się ostatnie, zapóźno. Ledwie zdołały opanować Trypolis, mało się nadający do kolonizacji. I wytworzyła się sytuacja taka: Francja władа ogromnemi, nadającemi się pod uprawę przestrzeniami, a nie ma ludzi, by ich tam umieścić, Włochy natomiast ludzi mają nadmiar, a ulokować ich nie mogą. Stąd w opinji włoskiej panuje przeświadczenie, że dzieje się niesprawiedliwość, że Francuzi są przeszkodą w urzeczywistnieniu naczelnych zadań polityki włoskiej.

Do tego, co powyżej powiedziano, dodać należy, że przeszkodą w zbliżeniu włosko-francuskiem jest antagonizm włosko-jugosłowiański na Adrjatyku, oraz pewne właściwości psychiczne narodu włoskiego.

Rzecz pierwsza jest jasna — Jugosławja jest ściśle związana z Francją i warunkiem porozumienia francusko-włoskiego musi być wyrównanie stosunków między Włochami a Jugosławją.

Co do rzeczy drugiej, to trzeba pamiętać o tem, że naród włoski przeżywa obecnie okres renesansu, że ma poczucie swych sił i wielkie ambicje narodowe, że uważa się za spadkobiercę Rzymu starożytnego; tymczasem Francja żywi poczucie swej wyższości kulturalnej i cywilizacyjnej, powołując się na ostatnie stulecia swych dziejów, a stąd płyną pewne objawy lekceważenia, które dotykają bardzo boleśnie Włochów współczesnych...

Mussolini — jak powiedziałem — dążył do porozumienia z Francją, lecz uważał — jak sądzę — że porozumienie tekie jest możliwe tylko na pewnych warunkach. Ażeby te warunki osiągnąć, musiał czekać na wzmocnienie wewnętrzne Włoch, oraz na wytworzenie się odpowiednich stosunków w polityce międzynarodowej. Trzeba sobie też zdawać sprawę z tego, że Włochy miały wymagania w stosunku do Francji, a nie miały jej aktualnie nic do dania. Polityka włoska ostatniego dziesięciolecia jest jednem pasmem wysiłków, zmierzających do tego, by zdobyć atuty, możliwe do wygrania w rozgrywce z Francją. Do kategorji takich wysiłków należy polityka w stosunku do Niemiec. Pozorny zwrot w kierunku Niemiec dał Włochom do ręki walory w układaniu swego stosunku z Francją. To też dziś porozumienie włosko-francuskie jest możliwe na warunkach o wiele korzystniejszych dla Włoch, niż było przed laty dziesięciu.

Powodem bezpośrednim zaś, skłaniającym Włochy do zwrócenia się w stronę Francji, jest zagadnienie przyszłości Austrji. Dla Włoch jest zarówno niebezpieczna hegemonja Niemiec na kontynencie europejskim, jak rozszerzenie się ich wpływów na Bałkanach i dalej w Azji Mniejszej. Na terenie państw naddunajskich jest możliwość, a nawet konieczność współdziałania włosko-francuskiego.

*

Z przesłanek powyższych wyprowadzamy wnioski następujące.

Istnieje duża wspólność dziejowych interesów narodów francuskiego i włoskiego na kontynencie europejskim, ugruntowana w ich wspólnem pochodzeniu od Rzymu starożytnego i w warunkach geograficznych. Istnieje natomiast sprzeczność interesów w Afryce, a przez to i na morzu Śródziemnem. Dla Francji ważniejszy jest grunt europejski, dla Włoch afrykański. To stwarza możliwość porozumienia. Bo, gdy Francja przekona się, że zawodne są wszelkie poszukiwania bezpieczeństwa na wschodzie metodami genewsko-lokarneńskiemi, wówczas zwróci się całkowicie ku sojuszom. A wtedy wydaje się nam, że będzie dla niej dobrym interesem zapłacenie ustępstwami w Afryce za pewność zyskania współdziałania Włochów na Renie.

To jest — zdaje mi się — najogólniejsza formuła porozumienia, ku któremu pcha Francję i Włochy konieczność dziejowa. Porozumienie to byłoby, zdaniem naszem, najlepszem i najtrwalszem zabezpieczeniem nowego, powojeneego układu terytorjalnego w Europie, usunęłoby wszelką możliwość zniweczenia tego układu przez tych, którzy wojnę ostatnią przegrali.

STANISŁAW KOZICKI

SMUTNY SUKCES

PRZED rokiem przeszło na tem miejscu ukazał się mój artykuł p. t. „Amoralność życia gospodarczego”. Nie mogę powiedzieć, by minął on bez echa. Szereg osób zwrócił mi uwagę, że przejaskrawiam obraz.

Zanik podstaw moralnych w działalności szeregu formacyj gospodarczych t. zw. hyper-kapitalistycznych nie posunął się — mówiono mi — tak daleko, jak to przedstawiłem w swoich wywodach. Być może, że tu i ówdzie dzieją się nadużycia, ale nie można tak stawiać sprawy, że przyjęcie mandatu członka rady nadzorczej, czy założenie kartelu może być pewną formą zamaskowaną kradzieży.

Niestety jednak wydarzenia ostatnich miesięcy w pełni potwierdzają moją tezę. W niektórych wielkich towarzystwach akcyjnych wykryto takie nadużycia, które wyraźnie podpadają pod niektóre przepisy kodeksu karnego. A przecież życie gospodarcze stwarza formy tak zawiłe, tyle niesłychanych komplikacyj i kombinacyj, że często niemożliwe jest stwierdzenie, gdzie, kiedy i jak przekroczono przepisy prawa, chociaż niewątpliwie z punktu widzenia zwyczajnej uczciwości sprawa jest jasna. Bardzo charakterystyczną jest tu naprzykład sprawa księcia Pszczyńskiego, który założył do spółki z pewnym kapitalistą niemieckim w Niemczech, w Polsce i w Szwajcarji pięć przedsiębiorstw, które ciągle zawierały między sobą rozmaite zawiłe tranzakcje finansowe. Wszystko to były interesy z sobą samym, pozornie najzupełniej zgodne z prawem. Oszustwo polegało dopiero na ich zestawieniu: w rezultacie rozlicznych operacyj ludzie, którzy dostarczyli księciu Pszczyńskiemu dla jego fabryk różnych maszyn, surowców i t. d., nie mogli za to otrzymać ani grosza, chociaż ten pan dysponuje miljardowym majątkiem. Podobne sprawy są na porządku dziennym i nikogo w t. zw. „sferach gospodarczych” nie dziwią.

Miarą przytępienia zmysłu moralnego, jeżeli idzie o wielkie interesy, była dla mnie rozmowa z pewnym, niewątpliwie uczciwym człowiekiem, zajmującym poważne stanowisko w przemyśle, na temat kursu akcyj.

Giełda notuje różne akcje bardzo nisko. Istnieje przedsiębiorstwo o kapitale zakładowym 20 miljonów złotych, w akcjach po 100 złotych. Otóż te akcje notowane są po 3 zł. 50 gr. Wynikałoby stąd, że całe przedsiębiorstwo jest do nabycia za 700.000 złotych. Ale tak się tylko wydaje. Na giełdzie można nabyć 10, 50, 100, 1000, może 10.000 akcyj po 3.50 zł. Ale nie więcej. Większe ilości akcyj znajdują się w posiadaniu tych, którzy przedsiębiorstwem faktycznie rządzą i wchodzą w skład stałej większości, wybierającej co rok radę nadzorczą, zarząd i t. d. Gdybyśmy któremu z tych panów zaproponowali sprzedanie akcyj, zażądałby napewno po 35 złotych, t. j. dziesięć razy tyle, ile wynosi kurs giełdowy.

Otóż przedstawiłem ten stan rzeczy mojemu rozmówcy, który nie rozumiał, o co mi chodzi.

— „To jest” — mówił mi — „zupełnie w porządku. Tak jest we wszystkich większych przedsiębiorstwach. Przecież nie można tak samo cenić pojedyńczych akcyj, jak wielkiego portfelu, dzięki któremu można uzyskać wpływ na spółkę”.

Zastanówmy się nad tem, czy to jest rzeczywiście „w porządku”. Przecież za każdą akcję zapłacono kiedyś, przy zakładaniu spółki, tyle samo. Każda zatem powinna dawać jednakowe korzyści. Jeżeli jednak akcje w ręku jednego akcjonarjusza są warte dziesięć razy tyle, co w ręku drugiego, to wolno przypuszczać, że dają one korzyści zupełnie nierówne. Trudno bowiem przypuszczać, by tylko dlatego ktoś wyżej cenił akcje, że dzięki nim może dostać piękny tytuł członka rady nadzorczej i t. p.

Rzecz w tem, iż akcjonarjusz „większościowy”, dzięki temu, że bierze udział w bloku większości, zapewnia sobie takie korzyści, których nie może uzyskać akcjonarjusz „mniejszościowy”. Zrezygnujmy z eufemizmu i powiedzmy otwarcie: akcjonarjusz większościowy, dzięki temu, że rządzi spółką, może okradać akcjonarjusza mniejszości. Za tę sposobność do okradania płaci się o wiele drożej, niż za prawo do tego, żeby być okradanym. Dlatego małe ilości akcyj jakiejś spółki mają kurs nieraz dziesięciokrotnie niższy, aniżeli wielkie ilości akcyj.

Nietrudno wykazać bezpośredni związek tego stanu rzeczy z obecnem przesileniem: brak chętnych do kupowania akcyj uniemożliwia zakładanie przedsiębiorstw przez większą ilość małych akcjonarjuszów.

Podobnie ścisły związek istnieje między machinacjami typu księcia Pszczyńskiego i kryzysem. Gdy można zagarnąć samemu możliwe zyski, a w razie niepowodzenia straty przerzucić na innych, to prowadzi się interesy ryzykowne, poprostu interesy złe. Książę Pszczyński robił złe interesy dlatego, że liczył na przerzucanie strat na innych w sposób oszukańczy. Podobnie zresztą postępowali Kreuger, Insull i inni ludzie interesu. Ale ci, którzy ponieśli karę za swoje postępowanie, należą do wyjątków, a system zakładania przez koncern kilku spółek, z których jedne przeznaczone są do realizowania zysków, a inne do zaciągania zobowiązań i ponoszenia strat, jest niemal regułą w świecie wielko-kapitalistycznym. System ten skłania do robienia interesów złych, ryzykownych, które oczywiście doprowadzają do kryzysu ogólnego, do wielkiego wstrząsu, który wkońcu uderza w przedsiębiorstwa, nawet te, które miały... tylko dawać zyski.

Wielka zawiłość życia gospodarczego, która doprowadziła do tego, że w takim Żyrardowie popełniano od wielu lat różne nadużycia, a nikt nie wiedział, na czem one polegały, że w takiej „Wspólnocie Interesów“ na Śląsku bada się od pół roku księgi i nie można się dobrze zorjentować w stosunkach różnych koncernów i spółek polskich, niemieckich i amerykańskich, nie jest zdrowa.

Albo dojdzie do zupełnego uproszczenia struktury życia gospodarczego, albo ludzie muszą przestać oszukiwać. (Zresztą jedno łączy się z drugiem, bo cała zawiłość służy właśnie do ukrycia oszustw).

Ostatni rok przyczynił się walnie do tego, że wszyscy oczekują odrodzenia moralnego, jako koniecznego warunku przełamania kryzysu gospodarczego. Mam wrażenie, że jeszcze przed rokiem nie było możliwe u nas ukazanie się w fachowem piśmie gospodarczem artykułu, rozwijającego tę myśl...

Tymczasem ostatnio dwutygodnik „Gospodarka Narodowa" zajął właśnie takie stanowisko.

Uważam to za swój sukces. Sukces smutny bo okupiony utratą rozczarowań. Pisząc przed rokiem o tem samem zagadnieniu — wolno mi się do tego przyznać — przesadzałem dla zaostrzenia obrazu, dla zwrócenia uwagi na stronę moralną zagadnienia kryzysu gospodarczego. Obecnie z przerażeniem konstatuję, że jednak nie przesadziłem, że obraz rzeczywistości przejaskrawiony nie był.

F. K.

O REFORMIE CERKWI UNICKIEJ

WPADŁA mi w ręce bardzo ciekawa książka ks. Emiljana Kowcza[1]), omawiająca potrzebę reform w cerkwi unickiej na terytorjum Polski. Rzecz jest pisana z dużem zacięciem publicystycznem oraz z pewnem znawstwem, charakterystycznem dla kapłana-praktyka, przytem ukraińskiego nacjonalisty. Książce warto się bliżej przyjrzeć, bowiem taka lub inna reforma cerkwi unickiej będzie miała bardzo wielki wpływ nietylko na poważny odłam społeczeństwa ruskiego, ale także i polskiego.

Autor zadaje sobie całkiem życiowe pytanie, dlaczego tak dużo ludzi opuszcza szeregi cerkwi grecko-katolickiej i przechodzi nietylko na obrządek rzymsko-katolicki, ale też na prawosławie oraz sztundę. Autor widzi dwie przyczyny tej dezercji. Pierwszą z nich — to sam obrządek w dzisiejszym jego stanie, drugą zaś duchowieństwo oraz jego życiowe warunki, zmuszające je do pewnego rodzaju postępowania. Odpowiednio też do tego podzielił książkę na dwie części, dotyczące obrządku i duchowieństwa.

Pierwszą przyczyną, odstręczającą wiernych od obrządku, jest, wedle autora, niezrozumiała ani dla ludu, ani dla inteligencji liturgiczna mowa starosłowiańska. W mowie tej odprawia się nietylko msza święta, ale też wszystkie nabożeństwa dodatkowe. Lud, nie rozumiejąc ich, nudzi się w cerkwi i idzie na bardziej zrozumiałe nabożeństwa w kościołach polsko-łacińskich. Tam bowiem rozumie on całe nabożeństwo dodatkowe, odprawiające się w języku polskim, a łacinę zagłuszają mu organy, towarzyszące zrozumiałym polskim pieśniom. Stąd autor propaguje wprowadzenie żywego literackiego języka ruskiego, tak do nabożeństw dodatkowych, jak też do mszy świętej.

Ksiądz Kowcz jest przeciwnikiem chórów i propaguje wprowadzenie śpiewania przez całą cerkiew, tak, jak to się dzieje w kościołach łacińskich. Tutaj należy wyzyskać tak zwany śpiew irmologiczny, będący bardzo pięknym i bardzo oryginalnym zabytkiem starogreckim.

Należy wszystkie księgi liturgiczne, drukowane w starosłowiańskim alfabecie, przedrukować w obecnie przez rusinów używanym alfabecie, gdyż po starosłowiańsku nikt już dzisiaj nie czyta. A że obecnie są już wsie, w których młodzież nie zna ruskiego alfabetu, przeto należy się zastanwić, czy nie trzeba drukować modlitewników ruskich łacińskiemi czcionkami. Sporo bowiem wiernych, zwłaszcza dziewcząt, używa polskich modlitewników i w ten sposób powoli przyzwyczaja się do polszczyzny i do obrządku łacińskiego.

Należy wprowadzić rozmaite nowe nabożeństwa, aby dać wiernym możność pogłębienia ich życia religijnego. Tutaj wzorem może i powinien być kościół łaciński, ciągle postępujący naprzód, ciągle żywy. Nie trzeba się przerażać zarzutem latynizacji cerkwi. Faktem jest, że reformy w nabożeństwie cerkiewnem wprowadzane są w dużej mierze pod presją kościoła łacińskiego. „Co to znaczy" — powiada autor — „jeśli słyszymy takie zdania: on musi odprawiać takie a takie nabożeństwa, bo odprawiają je w kościele? To znaczy: 1) że kościół, względnie obrządek łaciński wynalazł i daje rusinowi coś takiego, że ten, pomimo przywiązania do swego obrządku i mimo narodowego antagonizmu, musi do niego iść. Bierze go to bowiem za serce i przypada do smaku; 2) Widocznie tedy w tym łacińskim obrządku są jacyś ludzie, którzy myślą nad ludzkiemi upodobaniami, wytwarzają coś takiego, co z temi upodobaniami się zgadza, dają to wiernym, przyciągają ich tem do siebie i w ten sposób szerzą Bożą chwałę, a dusze ludzkie napełniają Bożą łaską; 3) Widocznie w tym obrządku są ludzie, którzy zadają sobie trud i z własnej a nieprzymuszonej woli nakładają na siebie nie bardzo lekki obowiązek tych różnorodnych nadobowiązkowych nabożeństw; 4) Zato w obrządku grecko-katolickim nikt o czemś podobnem nie myśli, nie zajmuje się temi sprawami, niczego nowego nie wynajduje, niema ochoty dać czegoś nowego wiernym, a nawet niczegoby nie dał, gdyby nie przykry, ale prawdziwy fakt, że wierni od niego uciekają; 5) Jeśliby tu nie było łacińskiego obrządku, to nasi wierni, o ileby pozostali przy swojej wierze, już dawno byliby, z wyjątkiem nielicznych jednostek, przywykli chodzić tylko raz na tydzień do cerkwi na mszę i raz na rok do spowiedzi, chodziliby jeszcze spać na nieszporach i jutrzni, tak, jak to się zresztą i teraz dzieje tam, gdzie do kościoła daleko; 6) Pośrednio znaczy to, że istnienie łacińskiego obrządku, jest, o ironjo, dla wiernych naszego obrządku *conditio sine qua non*, jeśli nie do utrzymania wiary, to przynajmniej do rozbudzenia i rozrostu religijnego życia; 7) Że my jesteśmy niedołężni i leniwi, nie ruszamy się, aż nas nie przypiecze do siódmej skóry; 8) Najsmutniejsze zaś to, że z tego wszystkiego nie zdajemy sobie sprawy, nie widzimy tego i widzieć nie chcemy". Uwagi powyższe są bardzo znamienne, a co najciekawsze, bardzo dla kościoła rzymsko-katolickiego pochlebne. Autor nie jest jednak jedynie za latynizacją obrządku grecko-katolickiego. Radzi on przeprowadzić szereg reform i ulepszeń w obrządku grecko-katolic-

[1]) O. Emiljan Kowcz. *„Czemu naszi wid nas utikajut"*. Lwów, 1932, nakładem autora, str. 146.

kim, któreby odróżniały go od łacińskiego i nadawały mu pewne znamię oryginalności.

Należy, wedle autora, zreformować szereg ceremonij religijnych, niedostosowanych do ducha czasu. Do takich ceremonij, które odstręczają od cerkwi, należą w świetle książki t. zw. „metanja", pokłony, przyjmowanie komunji św. pod dwiema postaciami, kalendarz starego stylu, a wreszcie nadmierne posty (21 tygodni wobec 10 tygodni postów w obrządku łacińskim). Autor stoi na stanowisku latynizacji w zakresie postów, przyjmownnia komunji św. oraz kalendarza.

Wielką wagę należy położyć na sam wygląd cerkwi, na jej styl. Tutaj właśnie można jaknajwięcej cerkwie odróżnić od kościołów, wprowadzając dobrze dobrane momenty stylu bizantyńskiego i momenty, nawiązujące do Ukrainy. Należy zatem zachować krzyże trójramienne, chorągwie stylu ukraińskiego, czerwień do żałoby. Czerni używają Polacy, podczas gdy ukraińska tradycja zaleca czerwień. Dużo miejsca poświęca autor odpustom, które należy też zreformować, aby spełniały swe religijne zadania.

Bardzo ciekawe uwagi kreśli autor na marginesie wychowania księży unickich. Twierdzi on, że dziś ksiądz ma mniej wpływu na wsi ruskiej, niż *„małyj pejsatyj żydok"*, albo zwyczajny chłopski filozof, czy wreszcie ciemny agitator. Dzieje się to dlatego, że obecnie księża nie rozumieją duszy ludu. Kiedyś było inaczej, chociaż księżmi byli ludzie mało wykształceni, chodzący w płótniankach. Ksiądz kształci się na wzorach zachodnio-europejskich, a tymczasem rusini są narodem, mającym sporo wschodnich cech charakteru. Należy tedy zwrócić większą uwagę w wykształceniu kleru nietylko na elementy rusko-ukraińskie, ale też na stare dzieje cerkiewne i ich powiązanie ze wschodem.

Bardzo dużo miejsca poświęca ks. Kowcz zagadnieniu bezżenności stanu duchownego. Poprostu propaguje on celibat księży unickich. Ksiądz żonaty nie może, wedle autora, spełniać dobrze ani obowiązków kapłańskich, ani też społeczno-politycznych i narodowych. Musi on być gospodarzem, musi starać się o utrzymanie rodziny, brać zbyt duże opłaty od wiernych, a to wszystko odstręcza sporo ludzi od obrządku. Zarzut, jakoby stan kapłański nieżonaty likwidował ilość ukraińskiej inteligencji, nie odpowiada także prawdzie. Dziś przecie księża mają po jednem, względnie po dwoje dzieci. Zresztą inteligencji tej jest już stosunkowo dużo, tak dużo, że bez dopływu z księżych rodzin może się ona utrzymać.

Autor atakuje dotychczasowy sposób przeprowadzania spraw dyscyplinarnych przez wyższe sfery cerkiewne. Przy sprawach tych zaduży wpływ mają wierni, w postaci t. zw. prowizorów. Uzależnia to duchowieństwo od wiernych oraz podrywa jego powagę. Autor nawołuje duchowieństwo, aby brało udział w ukraińskiej pracy narodowej. Udział ten musi jednak być bezpartyjnym i dyskretnym. Ksiądz nie może gonić za prezesurami stowarzyszeń na wsi, gdyż to może wprowadzić pewne niesnaski, zrazić do niego chłopów, którzy przecież uważają przewodniczenie w rozmaitych instytucjach za swój honor; mogą też takie prezesury zaszkodzić opinji księdza, zwłaszcza jeśli się trafią jakie nadużycia. Powinien natomiast ksiądz być duszą wszelkich przedsięwzięć społeczno-politycznych, oraz wychowawcą swoich parafjan w dziedzinie pracy narodowej.

W specjalnym rozdziale zastanawia się autor nad bractwami religijnemi. Mogą one bowiem, dobrze prowadzone, być walną podporą religji, w razie zaś błędów, mogą prowadzić do sekciarstwa. Ostatni rozdział poświęca autor konfesjonałowi i kazalnicy, jako czynnikom utrzymania wiernych przy obrządku. Są to raczej uwagi zawodowe dla księży, tak że szczegółowo nie będę z nich zdawał sprawy. Zaznaczę tylko, że autor nakłania księży do politycznych kazań w cerkwi. Żeby zachęcić unickich księży do kazań politycznych, ucieka się autor do wskazania na przykład księży Polaków, którzy „nietylko podnoszą wszystko swoje pod niebiosa, ale nasze mieszają z błotem". Nawiasem dodam, że przeciwko temu ostatniem twierdzeniu należy się jaknajkategoryczniej zastrzec. To nie jest zgodne z istotnym stanem rzeczy.

Książkę kończy autor jakby schematem rachunku sumienia dla poszczególnych księży. Rachunek ten obejmuje 13 punktów i, wedle mego zdania, jest bodaj najistotniejszym momentem, gdyż przypomina księżom ich obowiązki.

Jak zatem widzimy, reforma cerkwi unickiej, propagowana przez księdza Kowcza, idzie zasadniczo w dwu kierunkach. Jeden z nich — to pewne zlatynizowanie cerkwi unickiej. Autor jest tutaj, trzeba przyznać, jak na ruskie stosunki, dość radykalny. Głosi on przecie takie postulaty, jakie znajdujemy w książce Giertycha „O program polityki kresowej". Mam tu na myśli wprowadzenie wspólnego kalendarza oraz modlitewników ruskich, drukowanych alfabetem łacińskim. O tym kierunku reform, zmierzających do większego upodobnienia cerkwi unickiej do kościoła łacińskiego, można powiedzieć, że jest dobrym i pozytywnym. Rzeczywiście może on podnieść siłę przyciągania cerkwi unickiej. Jest on przytem ze stanowiska polskiej polityki do przyjęcia. Zmniejszając bowiem różnice pomiędzy obu obrządkami, da pewne psychiczne podstawy do asymilacji ruskiego żywiołu etnicznego.

Gorzej natomiast przedstawia się grupa reform, propagowanych przez księdza Kowcza, mająca na celu zukrainizowanie obrządku grecko-katolickiego. Dopóki bowiem językiem liturgicznym jest język starosłowiański, dopóty obrządek grecko-katolicki zukrainizowany nie jest. Dziś jest on zukrainizowany jedynie siłą faktu. Poprostu tak się złożyło, tak się rozwinęła historja cerkwi unickiej, że stała się ona twierdzą ukrainizmu. Dopóki jednakże nie wprowadzi się współczesnego języka ruskiego, jako języka liturgicznego, to fakty te można jeszcze będzie zmienić.

Myli się szanowny autor gruntownie, jeżeli przypuszcza, że radykalne zukrainizowanie obrządku grecko-katolickiego uzdrowi stosunki w cerkwi, że w skutkach swoich doprowadzi do tego, iż zahamuje się całkowicie odpływ z cerkwi unickiej do kościoła rzymsko-katolickiego, czy na prawosławie. Takie dopiero reformy, któreby widocznie ukrainizowały cerkiew, stałyby się właśnie początkiem wielkich rozłamów i odpływów z cerkwi. Przecież właśnie jedynie faktyczna ukrainizacja, jaką dziś obserwujemy, stała się powodem szerzenia się prawosławia na terenie Małopolski wschodniej. Ukraińcy naogół myślą—a zapewne autor książki, pomiędzy innymi, także jest tego samego

zdania—że greko-katolicy są w stu procentach Ukraińcami. Myśląc tak, mają oni tylko w pewnym stopniu rację. Wierząc w to bowiem i rozumując w ten sposób, zapominają o historji, geografji, etnografji, no i o polityce. Zapominają o tem, że cerkiew unicka była przez dość długi czas, i to doniedawna, instytucją polską, oczywiście o tyle, o ile wogóle Kościół katolicki może być własnością jakiegoś narodu. Austrji udało się wprawdzie polskość tę z cerkwi usunąć i zniszczyć. Jednakże co raz było polskiem, to może niem zostać napowrót. Zapominają wreszcie, że w cerkwi unickiej jest do dziś bardzo dużo ludzi, mających w sobie polską krew. Są to bądź Polacy, zruszczeni właśnie przez grecko-katolicki obrządek, bądź też pochodzący z mieszanych małżeństw polsko-ruskich. Obie te kategorje, o wiele liczniejsze, aniżeli się to działaczom ukraińskim zdaje, siedzą dotychczas z najrozmaitszych powodów w cerkwi grecko-katolickiej. Obie te grupy ludzi mają jednakże ciągłą tendencję do przechodzenia na obrządek rzymsko-katolicki. Typy takie znam bardzo dobrze z osobistej obserwacji. Cała ta masa wiernych, w razie np. wprowadzenia liturgicznego języka ukraińskiego, przejdzie napewno do obrządku łacińskiego. A że należy się liczyć tem, iż małżeństwa mieszane będą dalej trwały, to można przewidywać właśnie stabilizację odpływu z cerkwi grecko-katolickiej. Odpływ ten zresztą jest nieuchronny i bez ukrainizacji cerkwi. Będzie on się szerzył stale właśnie do czasu, dopóki cerkiew grecko-katolicka w Polsce nie zejdzie z drogi ukrainizowania się, dokonywanego *per fas et nefas*. Zapewne jest to w pewnem rozumieniu tragedją cerkwi unickiej, a zwłaszcza jej wysokiej hierarchji. Na to jednak rady niema. Na długi bowiem czas stosunki tak się dla cerkwi ułożyły, że uchronić ją może od systematycznego rozkładu, a może nawet od śmierci, tylko dość poważna latynizacja oraz gruntowna dezukrainizacja. Ta ostatnia bowiem zatrzyma przy niej na stałe elementy polskiej krwi. Inaczej będą one stale i systematycznie z cerkwi odpływać, a to, jak wiadomo, działa na każdą religję rozkładowo.

Cerkiew unicka może liczyć całkiem śmiało na poparcie polskiego obozu narodowego w swem dążeniu do reformy. Dobro cerkwi, jako części Kościoła katolickiego, jej zwartość i możność działania leżą nam bardzo na sercu. Pomijam już to, że idzie tu o rusinów, obywateli Rzeczypospolitej. Nie zapominajmy jednak o tem, że tak, jak, wedle szanownego autora omawianej książki, stan i działalność Kościoła rzymsko-katolickiego wpływa na stan cerkwi unickiej, tak też dzieje się i naodwrót. Stąd jesteśmy nawet zupełnie bezpośrednio zainteresowani w reformie cerkwi unickiej. Zreformowana bowiem, będzie ona oddziaływać dodatnio na Kościół łaciński, w którym żyją Polacy.

Nakoniec jeszcze jeden walor i moment z omawianej rozprawy. Uwidocznia ona mianowicie wagę religijną Kościoła łacińskiego na naszym wschodzie. Z książką tą powinni się zapoznać nieprzyjaciele rozszerzania katolicyzmu na wschodzie polskim w jego łacińskiej formie. Jeśli łacińskie kościoły odgrywają tak wielką i dodatnią rolę w pogłębianiu życia religijnego w cerkwi unickiej, to należy akcję budowy nowych kościołów na kresach nietylko prowadzić jak dotychczas, ale ją wydatnie zwiększyć, oprzeć na szerszych podstawach, przedewszystkiem materjalnych. Dobrzeby było może pomyśleć o zorganizowaniu ogólnopolskiego towarzystwa, mającego na celu budowę kościołów na kresach wschodnich. Wzmacniając bowiem akcję budowy kościołów łacińskich na kresach, spełnimy zarówno nasz obowiązek narodowy, jak też i katolicki.

KAROL STOJANOWSKI

DZIEDZICZNOŚĆ

(Dokończenie)

CZYTELNIK mógłby mi teraz zadać pytanie, jakie mamy realne dowody, prócz danych, otrzymanych z krzyżówek i czysto teoretycznego ich objaśnienia, na to, że nasze przypuszczenia co do egzystencji jakichś czynników dziedzicznych są słuszne i, jeżeli te czynniki są czemś materjalnem, to gdzie one się znajdują. Na to pytanie mogę śmiało odpowiedzieć, że jedna z najmłodszych gałęzi nauk przyrodniczych, mianowicie nauka o komórce, czyli c y t o l o g j a, posiada obecnie cały szereg dowodów na to, że tak istotnie jest, jak teoretycznie genetyka przewidywała. Jest to nawet jeden z ładniejszych przykładów, jak dwie nauki, posuwając się niezależnie jedna od drugiej, doszły do zupełnej zgodności rezultatów i zespoliły się teraz do tego stopnia, że genetyka nie może się już obejść bez cytologji i że każdy wynik genetyczny zwykle jest potwierdzony badaniami cytologicznemi.

Nie chciałbym zbytnio przeciążać czytelnika szczegółami może zbyt specjalnemi. Postaram się więc możliwie zwięźle przedstawić, na czem ta zgodność cytologji z genetyką polega.

Każdy żywy organizm, roślinny czy zwierzęcy, składa się z komórek. Komórka jest to bryłka żywej substancji, p r o t o p l a z m y, obdarzonej t. zw. j ą d r e m, które ma zwykle kształt pęcherzyka i leży wewnątrz tej protoplazmy, którą w odróżnieniu od substancji jądrowej (k a r j o p l a z m y) nazywamy c y t o p l a z m ą. Gdy komórka się dzieli, w jądrze jej dają się zaobserwować pewne struktury w postaci pętel, pałeczek lub kuleczek. Każdy gatunek, roślinny czy zwierzęcy, posiada ściśle określoną liczbę tych pętel. Liczba ta charakteryzuje dany gatunek i występuje we wszystkich komórkach ciała danego organizmu. Naprzykład, robak *Ascaris megalocephala* posiada ich 4, słynna z badań Morgana muszka owocowa *Drosophila* — 8, człowiek — 48 i t. p. Pętle te noszą nazwę c h r o m o s o m ó w. Cały zespół tych pętel daje się ułożyć w pary[1]). Można to szczególnie łatwo obserwować w tych przypadkach, w których chromosomy różnią się między sobą kształtem lub wielkością. Zespół, naprzykład, chromosomów samicy muszki *Drosophila* daje się zupełnie wyraźnie ułożyć w 4 pary: jedną o chromosomach pa-

[1]) Nie biorę tu pod uwagę specjalnych przypadków, związanych z kwestją determinacji płci, gdzie stosunki liczbowe chromosomów przedstawiają się trochę inaczej.

łeczkowatych, dwie (druga i trzecia) o chromosomach w kształcie V i większych od poprzednich, i wreszcie jedną, czwartą, o bardzo małych, kuleczkowatych chromosomach. Chromosomy, tworzące jedną parę, noszą nazwę chromosomów homologicznych, t. j. chromosomów ściśle sobie odpowiadających.

Objekty bardzo ściśle i skrupulatnie zbadane genetycznie, jak np. muszka *Drosophila*, wykazały, że cechy dziedziczne połączone są w grupy w ten sposób, iż cechy należące do jednej grupy dziedziczą się społem. Jest to zjawisko, o którem już wspominałem, mówiąc o często występującem sprzęganiu się cech. Otóż okazuje się, że ilość grup cech z sobą sprzężonych, odpowiada ilości par homologicznych chromosomów. Mało tego! Wielkość tych grup sprzężeniowych, t. j. ilość, zawartych w każdej z nich czynników, odpowiada wielkości chromosomów, tworzących homologiczne pary. U *Drosophila* więc, naprzykład, odpowiednio do wielkości chromosomów, będziemy mieli: 2 grupy sprzężeniowe duże, 1 — mniejszą i 1 zupełnie małą, zawierającą kilka zaledwie czynnikow dziedzicznych.

Zgodność ta daje się objaśnić przez przyjęcie, że czynniki dziedziczne, czyli geny, umieszczone są w chromosomach. W większych chromosomach będzie ich więcej, w mniejszych — mniej. Geny byłyby rozmieszczone w chromosomach linearnie, jeden za drugim, stanowiąc jakby sznur paciorków.

Wspomniałem już o tem, że we wszystkich komórkach ciała jakiegoś organizmu, spotykamy zawsze tę samą liczbę chromosomów. Dzieje się to wskutek tego, że przy podziale każdej komórki, każdy chromosom dzieli się wzdłuż i jedna z jego połówek przechodzi do jednej z komórek potomnych, druga zaś do drugiej. Dzięki tak precyzyjnemu podziałowi każdego chromosomu i rozdziałowi dwu powstałych stąd połówek w wyżej opisany sposób, mamy w każdej komórce zachowaną zawsze tę samą liczbę chromosomów, i zawsze ten sam zespół genów, ponieważ przy dzieleniu się każdego chromosomu wzdłuż, dzielą się także wszystkie geny, linearnie w nim ułożone, tak, że każda połówka chromosomu będzie wyposażona w ten sam zespół genów.

Zmiana zachodzi tylko podczas dojrzewania komórek płciowych, czyli gamet. W zjawiskach, towarzyszących temu dojrzewaniu, leży klucz do zrozumienia zachowania się genów podczas tworzenia się gamet, ich rozdzielania się i, co za tem idzie, czystości gamet pod względem jakiejś jednej pary cech, o czem mówiliśmy rozpatrując prawa Mendla.

Komórki płciowe, czyli gamety, dojrzewają, t. j. stają się zdolne do zapłodnienia, po dwu tak zwanych, podziałach dojrzewania, z których najważniejszy jest pierwszy. Podziały te mają na celu zmniejszenie do połowy zespołu chromosomów, zawartych w jeszcze niedojrzałych prakomórkach płciowych. Zmniejszenie to jest niezbędne ze względu na to, że każdy organizm powstaje przecie ze zlania się dwóch gamet, co, gdyby w tych gametach liczba chromosomów nie była zredukowana do połowy, prowadziłoby nieuchronnie do dwukrotnego zwiększenia ilości tych składników przy każdem zapłodnieniu. Doprowadziłoby to po pewnej ilości pokoleń do wprost potwornego ich nagromadzenia. Wiemy zaś natomiast dobrze, że liczba chromosomów jest wielkością stałą dla danego gatunku roślinnego lub zwierzęcego.

Redukcja ilości chromosomów odbywa się właściwie podczas pierwszego podziału dojrzewania. Odbywa się ona w ten sposób, że, przed podziałem, chromosomy homologiczne, czyli ściśle sobie odpowiadające, łączą się z sobą bokami, nie zlewając się jednak z sobą i tworząc w ten sposób pary, ściśle z sobą zespolonych elementów chromosomalnych. Par tych będzie oczywiście tyle, ile par homologicznych chromosomów wyróżniliśmy w zespole chromosomalnym danego gatunku. Następnie, podczas samego już podziału komórki, partnerzy, tworzący każdą taką parę, rozchodzą się w ten sposób, że do jednej z potomnych komórek wędruje jeden chromosom, a do drugiej — drugi, ściśle mu odpowiadający. Skutek będzie taki, że komórki potomne będą zawierały tylko po jednym przedstawicielu każdej pary homologicznych chromosomów. W naszym przykładzie u *Drosophila* mieliśmy 8 chromosomów, tworzących 4 pary. W wyniku podziału redukcyjnego otrzymamy, w wyżej opisany sposób, komórki tylko o 4 chromosomach pojedyńczych. Wśród tych 4-ch chromosomów będziemy jednak mieli po jednym przedstawicielu każdej z 4-ch kategoryj, któreśmy u *Drosophila* wyróżnili, a więc: 2 duże chromosomy w kształcie V, jeden pałeczkowaty i jeden kuleczkowaty.

Drugi podział dojrzewania w niczem stosunków tych nie zmienia, bo jest on zwykłym podziałem, dzielącym każdy chromosom na dwie jednakowe połówki.

Jak będą się przedstawiały stosunki chromosomalne po zapłodnieniu, t. j. po zlaniu się dwu komórek płciowych, z których każda, w myśl poprzednich rozważań, posiadać będzie połowę ilości chromosomów, charakteryzującą dany gatunek?

Jak to łatwo sobie można przedstawić, będziemy mieli wtedy powrót do normalnej liczby chromosomów. U *Drosophila* więc po połączeniu się dwu gamet, zawierających każda 4 chromosomy, otrzymamy komórkę, powstałą z ich połączenia, czyli z y g o t ę, zawierającą 8 chromosomów. Łatwo również pojąć, dlaczego te 8 chromosomów dają się ułożyć w pary ściśle odpowiadających sobie chromosomów, każda bowiem z gamet zawiera po jednym przedstawicielu z każdej kategorji chromosomów. Stąd wniosek, że w każdej parze homologicznych chromosomów, którą możemy wyróżnić w zespole chromosomalnym jakiegoś organizmu, jeden z partnerów będzie pochodzenia ojcowskiego, drugi zaś — matczynego.

Podczas pierwszego podziału dojrzewania, gdy homologiczne chromosomy, z których, jak widzieliśmy, jeden jest pochodzenia ojcowskiego, a drugi — matczynego, rozchodzą się i każdy z nich wchodzi w skład innej gamety, rzeczą przypadku jest do której z gamet pójdzie matczyny chromoson, a do której — ojcowski. U *Drosophila*, naprzykład, z zespołu 8 chromosomów, z których 4 pochodzi od ojca i 4 — od matki, w skład każdej z gamet musi wejść 4 chromosomy: 2 duże w kształcie V, jeden pałeczkowaty i jeden kuleczkowaty. Rzeczą jednak przypadku będzie, ile z tych 4-ch chromosomów będzie pochodzenia ojcowskiego, a ile matczynego. Mogą być, naprzykład, w ga-

mecie 2 duże chromosomy w kształcie V od matki, a pałeczkowaty i kuleczkowaty — od ojca, lub też wszystkie, prócz kuleczkowatego, mogą być od ojca, a ten — od matki i t. p. Należy tylko pamiętać, że jeżeli jedna z gamet otrzyma, naprzykład, 3 chromosomy od ojca i jeden od matki, to druga gameta dostanie odwrotnie: 3 od matki i jeden od ojca, przyczem chromosomy ojcowskie, zawarte w jednej gamecie, będą ściśle odpowiadały chromosomom matczynym, zawartym w drugiej gamecie, i oczywiście odwrotnie.

Porównując zachowanie się chromosomów podczas dojrzewania komórek płciowych z tem, cośmy mówili o zachowaniu się genów, rzuci się nam odrazu w oczy zupełna zgodność zachowania się jakiejś jednej pary homologicznych chromosomów z procesami, opisanemi dla wytłumaczenia praw Mendla. I tu i tam mamy po zapłodnieniu połączenie się w zygocie dwu elementów, z których jeden jest pochodzenia ojcowskiego, a drugi — matczynego. Elementy te, jak w jednym, tak i w drugim przypadku, pozostają w organiźmie mieszańca, zachowując zawsze swoją indywidualność, by, przy dojrzewaniu komórek płciowych, rozłączyć się i wejść w skład dwu różnych gamet (zasada czystości gamet Mendla i proces rodzielania się homologicznych chromosomów podczas dojrzewania komórek płciowych).

Zgodność ta właśnie pozwala nam na wysunięcie hypotezy, że czynniki dziedziczne umieszczone są w chromosomach. Jeżeli zrobimy to przypuszczenie, to wyjaśnią nam się wszystkie fakty, otrzymane drogą badań wyłącznie genetycznych. Wyjaśni się więc nam przedewszystkiem, jak o tem już wspominałem, czystość gamet pod względem jakiejś jednej pary cech, i, oparte na tej czystości, rozszczepienie pokolenia F_2. Wyjaśni się nam fakt sprzężenia czynników dziedzicznych, gdyż geny, leżące w jednym chromosomie, będą przechodziły razem do gamet, będąc jakby powiązane przez ciało tego chromosomu. Wyjaśni nam się wreszcie zgodność grup czynników sprzężonych z wielkością chromosomów, zawartych w komórkach danego organizmu, bo im większy chromosom, tem więcej zawierać on może tych czynników dziedzicznych. Wyjaśni nam się również niezależność mendlowania kilku par cech, jeżeli umieścimy je w różnych parach chromosomów homologicznych, gdyż przy łączeniu i następnem rozchodzeniu się tych chromosomów podczas pierwszego podziału dojrzewania, rzeczą przypadku jest, jak to omawialiśmy wyżej, do której z gamet pójdzie chromosom, wniesiony przez ojca, a do której — wniesiony przez matkę.

Nadmienię tu jeszcze tylko dla pełności obrazu i dla potwierdzenia słuszności lokowania genów w chromosomach, że każda anomalja w dziedziczeniu, stwierdzona genetycznie, ma swój wyraz cytologiczny w nienormalnem zachowaniu się chromosomów. I odwrotnie: każda nienormalność chromosomalna odbija się natychmiast w odmiennem zachowaniu się genetycznem danego organizmu.

Chromosomy, które możemy doskonale widzieć pod mikroskopem, są więc nosicielami czynników dziedzicznych, czyli genów.

Zbliżamy się do kresu naszych rozważań. Widzimy, że prawa dziedziczenia, ustalone przez Mendla, znajdują silną podstawę w wynikach badań nad komórką, nad tym elementarnym składnikiem każdego żywego organizmu. Prawa więc te są dość silnie ugruntowane. Z tej też racji powinny one stać się podstawą do wszelkich rozumowań, związanych z kwestją rasy, z problematem możliwości t. zw. asymilacji i t. p.

Z praw tych, ustalonych przez genjalnego zakonnika, widzimy wyraźnie, że całkowicie mylne są dawniejsze poglądy, uważające za rzecz zupełnie możliwą jakieś stopniowe „rozwodnienie", czy też nawet „rozpłynięcie się" cech jakiejś rasy przy stałych krzyżówkach z drugą rasą.

Tak nie jest. Cechy jednej rasy, skrzyżowanej z drugą, mogą nawet przez cały szereg pokoleń przemycać się w ukryciu, nie mając, że się tak wyrażę, sposobności do ujawnienia się; może jednak przyjść w każdej chwili taka godzina, w której, przy dalszych krzyżówkach z mieszańcami lub z przedstawicielami czystej rasy, będzie miało miejsce spotkanie się dwu odpowiadających sobie czynników dziedzicznych, które zwykle były zagłuszane. Wtedy cechy tej rasy ujawnią się w całej pełni.

Dla nas, Polaków, myślących z troską o przyszłości naszej Ojczyzny, kwestje tu poruszone mają szczególnie wielkie znaczenie i ze wszech miar są uwagi godne.

GOZDAWA

NOWE RZECZY O SZEKSPIRZE

Wznowienie „Snu nocy letniej" w jednym z teatrów stołecznych, aczkolwiek, według słów krytyki, niezbyt udane, obudziło, jak widać z prasy, zainteresowanie sprawami, tyczącemi Szekspira. Poniżej podajemy wyjątki z rozprawki, ogłoszonej w paryskiej „*Revue Universelle*" przez p. Longworth-Chambrun, zawierającej wyniki nowych dociekań nad losami i twórczością poety. Wywody, stwierdzające, jak anglikańska zaciekłość sekciarska, pragnąca zatuszować fakt, iż Szekspir był gorliwym katolikiem, tworzyła sztuczne legendy naokół jego życia, są bardzo interesujące. — Red.

W DNIU, w którym królowa Wiktorja przyklękła na progu skromnego domostwa poety ze Stratfordu, rozległo się podzwonne dawnej tradycji szekspirowskiej. „Obrońca wiary protestanckiej" nie mógł przecież chylić w ten sposób czoła, wchodząc do siedziby, której mury słyszały tyle modlitw rzymskich. Trzeba było stworzyć nową legendę, odsuwając dawne świadectwa i wykazać narodowi angielskiemu, że jego poeta narodowy należał zawsze do wyznania państwowego, jego rodzice również i że ten wielki intelekt nie zawdzięczał nic mistrzom Odrodzenia, lecz czerpał swą wiedzę i swój genjusz z rodzimego gruntu wyspiarskiego.

Pierwszej próby dokonał w połowie ubiegłego wieku prof. Tyler. Dzięki niemu odłączono Szekspira od świata Ardenów i Cloptonów, do którego należał w Warwickshire i od Montaigue'ów

i Southamptonów, do których schronił się w Londynie. Metoda ta dała rezultat nieoczekiwany: zamiast powiększyć poetę, unicestwiała go. Nawet jego egzystencja, odcięta od swych głębokich korzeni, stała się wątpliwą. W rzeczy samej, skoro się usunie źródło jego natchnienia, jak można będzie badać bieg jego idej? Oddzielać Szekspira od hrabiego Southampton, któremu w r. 1593 dedykował „pierwszy owoc swej inwencji" i któremu w r. 1594 obiecał nazawsze poświęcić swe pióro, to znaczy nietylko zaprzeczać oczywistości, lecz również usuwać podstawę, na której spoczywa całe dzieło Szekspira. Cudowna karjera poety nie byłaby możilwa bez poparcia młodego mecenasa, który dzięki swemu nauczycielowi włoskiego, Giovanniemu Florio, lingwiście i tłumaczowi, posiadał wszystkie arcydzieła półwyspu i mógł dostarczyć tematów pierwszych sztuk Szekspira, wyjętych całkowicie z Cinthia, Bandella i Boccacia.

Jeżeli Szekspir zawdzięczał swe pierwsze powodzenia protekcji Southamptona i jego znakomitego kuzyna Essex'a, to jest również pewne, że jego przywiązanie do ich sprawy było powodem tragicznego zawodu, jaki zamroczył całą produkcję teatralną na końcu panowania Elżbiety. Po upadku sprzysiężenia, kierowanego przez jego protektorów, i po ich skazaniu, muza jego zachmurza się; nabiera nowego polotu dopiero po wstąpieniu na tron syna Marji Stuart i po triumfalnym powrocie Southamptona po trzech latach oddalenia. Nie, oddzielenie autora od jego dzieła, oderwanie pisarza od jego czasu nie jest możliwe....

A jednak profesor Tyler i inni podjęli się tego trudu. Na miejsce katolika Southamptona podstawili hr. Pembroke, powolnego dworaka i nieprzyjaciela Kościoła rzymskiego i tak, po usunięciu zgórą dwustu świadectw o życiu i dziele Stratfordczyka, doprowadzili do dziwnego paradoksu: że każdy człowiek, żyjący w XVII stuleciu, ma lepsze prawa do laurów Szekspira, niż sam Szekspir. Na szczęście ostatnie odkrycia Herberta Thurstona, Marion Spielmann, Leslie Hotson i moje, potwierdziły dawną tradycję i pozwalają rzucić nowe światło na stary temat.

Powrót do historji jest tu konieczny: trzeba poznać egzystencję wiejskiej rodziny, opierającej się nowemu tyrańskiemu systemowi, gdyż złoty wiek królowej Elżbiety nie był bynajmniej samem szczęściem dla dwóch trzecich jej poddanych. Pewne archiwa, nieuwzględniane przez nowoczesnych komentatorów, zbiory aktów niektórych słynnych spraw sądowych, dadzą nam natychmiast poznać, jakie to sprawy poruszały hrabstwo Warwick i miasteczko Stratford i, zestawiając skutki z ich przyczynami, zrozumiemy powody ruiny rodziców Szekspira i przerwania jego kształcenia. Jego tajemnicze małżeństwo stanie się tak samo zrozumiałe, jak i jego ucieczka z rodzinnych stron. W Londynie jego życie artystyczne i literackie, a polityczne również, ukarze się nam, jako wypadkowa jego dziedziczności i jego wychowania.

*

Szekspir urodził się pod panowaniem praw, wrogich rodzinie prowincjonalnej, żyjącej według starych zasad. Pierwszy parlament za panowania Elżbiety uchwalił w r. 1559 ustawy o „Supremacji" i o „Ujednostajnieniu", według których za sprzeciwianie się słowem lub pismem doktrynie nowego mszału anglikańskiego lub też za uznawanie duchowego autorytetu Papieża groziła konfiskata dóbr i więzienie, a recydywa po roku uznawana była za zdradę główną. Wprowadzenie tych ustaw w życie miało jako skutek ukazanie się w języku angielskim trzech nowych słów: „*papist*" na oznaczenie uznających autorytet Papieża, „*recusant*", oznaczające tych, którzy odmawiali złożenia przysięgi i „*poursuivant*", oznaczające całą bandę szpiegów i donosicieli, zwabionych nagrodami, wypłacanemi przez „*secret service*" królowej za aresztowanie papistów i trzymanie w posłuchu purytanów. Takim najbardziej znanym „*poursuivant*", prześladowcą w Warwickshire był sir Thomas Lucy, szeryf hrabstwa i kasztelan w okolicy Stratfordu; stał się on, jak utrzymuje tradycja, złym duchem Szekspira.

Stratford leżał w centrum prowincji angielskiej, gdzie opór przeciw tyrańskiej władzy był najsilniejszy. Do dziś dnia stoją w okolicach miasteczka zamki i dwory z poukrywanemi kaplicami.

W ciągu pierwszej dekady po uchwaleniu owych ustaw aresztowania były liczne, lecz kary głównej nie stosowano. Dopiero, gdy uznano, iż opinja jest dostatecznie przygotowana, wieszanie „według upodobania królowej" stało się częstem widowiskiem w Yorku, Winchester, Durham i w stolicy, tak, że w r. 1603, gdy Elżbieta składała swe ostateczne rachunki, mogła się poszczycić zagarnięciem dóbr i wygnaniem przeszło dwu tysięcy obywateli, a straceniem za wiarę 95 kapłanów, 47 szlachty, hrabiów lub książąt, jak również osób skromniejszych: rolników, służby, krawców, stolarzy i t. p. Niektórzy z nich byli to znajomi Szekspira, jak ów Robert Dibdale, jego sąsiad; poeta nie mógł uniknąć widoku egzekucji, dwaj księża zostali straceni przed jego teatrem. Kobiety również były skazywane za dostarczanie żywności więzionym kapłanom; Małgorzata Ward i Anna Line zostały powieszone w Tyburn, dwie inne kobiety umarły w więzieniu przed egzekucją. Mary Arden, ciotka Williama Szekspira, skazana na spalenie żywcem, była jedną z ofiar sir Thomasa Lucy, szeryfa, który zmusił Szekspira do ucieczki ze Stratfordu. Simon Hunt, nauczyciel szkoły w Stratfordzie, w czasie najważniejszym dla umysłowego kształtowania się młodego Willa Szekspira, uniknął szubienicy tylko przez ucieczkę z kraju do Douai, gdzie skończył swe dni w zgromadzeniu Jezuitów.

W tym samym czasie ojciec poety złożył swe funkcje obywatelskie. Przez 13 lat zrzędu skrupulatnie spełniał obowiązki kasjera gminy, burmistrza i wreszcie głównego oldermana. Lecz 6 września 1586 r. koledzy jego w zarządzie gminy muszą stwierdzić w protokule ciągłą jego nieobecność i uchylanie się od zebrań i zaakceptować jego zrzeczenie się urzędu. Postępowanie jego łatwo jest wytłumaczyć: jako urzędnik gminny mógł w każdej chwili być powołany do „odprzysiężenia się". Lecz i po wycofaniu się do swego małego sklepiku rękawicznego, John Shakespeare nie znalazł, jak się zdaje, spokoju. Kary, ustanowione za nieobecność na nabożeństwach oficjalnych, były ściągane bardzo rygorystycznie, kary za wysłuchanie tajnej mszy były bardzo wysokie.

(Dok. nast.) LONGWORTH-CHAMBRUN

NA WIDOWNI

Niedopatrzona wiadomość. — Likwidacja Prus. — Rola Prus w Rzeszy niemieckiej. — Przewaga prawna i przewaga autorytetu. — Zmiany w psychice nowych Niemiec. — Wnioski dla Polski.

PRZED kilku dniami można było czytać w gazetach depesze: (19.X b. r.) „Na podstawie rozporządzenia rządu, pruskie ministerstwo sprawiedliwości połączone zostało z ministerstwem sprawiedliwości Rzeszy" i zaraz potem (21.X b. r.) — „Urzędowo komunikują, że za zgodą premjera Goeringa, nastąpiło połączenie w jedną całość oddzielnych dotychczas resortów min. spraw wewnętrznych Rzeszy i Prus". Telegramy te podano drobnym druczkiem, bez nagłówków, ukryte w kącie stronicy — z tem roztargnieniem, z jakiem zazwyczaj rutyna dziennikarstwa dzisiejszego lubi traktować wydarzenia o doniosłości historycznej. Większość pism wogóle przeoczyła te wiadomości. A przecież fakty te są zapowiedzią ogromnej dziejowej przemiany, która bezsprzecznie wywrze wpływ na kształtowanie się dalszych losów Polski i Europy, przemiany, której możnaby dać nazwę: likwidacja Prus...

Stanowisko państwa pruskiego w Rzeszy Niemieckiej przez wiele lat przypominało system t. zw. *holding*'u we współczesnej gospodarce wielkokapitalistycznej. Wyobraźmy sobie finansistę, co posiadając sumę sześćdziesięciu tysięcy, nabędzie za nią 60% udziałów spółki, której kapitał wynosiłby—w tym wypadku — sto tysięcy. Decydując o losach spółki, jako właściciel większej części udziałów, wszystkie pieniądze jej (sto tysięcy) przeznaczy na to, ażeby kupić pięćdziesiąt kilka procent akcyj w spółce drugiej, której majątek stanowi sto osiemdziesiąt tysięcy. Tym sposobem, będąc posiadaczem większości akcyj, uzyskiwałby głos rozstrzygający w przedsiębiorstwie, w które włożyłby zaledwie trzecią część jego wartości.

Królestwo Pruskie, w granicach, w jakich uformowało się ostatecznie w ciągu XIX stulecia, cechowała przewaga Brandenburgji oraz prowincyj północnych i wschodnich, a więc żywiołów protestanckich, t. zw. „staro-pruskich", junkierskich, nad zachodniemi, katolickiemi okręgami np. Nadrenji. Żywioły te, oddawna już dzierżące władzę w Prusiech, zaciężyły z kolei całą potęgą Prus nad pozostałemi, sfederowanemi państewkami germańskiemi, wchodzącemi — po roku 1871 — w skład odnowionego Cesarstwa. Stolica wspólnego *Reich*'u w Berlinie, zapewniona Prusom większość w Radzie Związkowej, korona cesarska Hohenzollernów — oto kilka bardziej oczywistych dowodów tej hegemonji. Wszak dopiero pod koniec wojny światowej, po czterdziestu pięciu latach istnienia Rzeszy, urząd kanclerza po raz pierwszy objął nie Prusak-luteranin, ale — przejściowo zresztą tylko — Bawarczyk, jeden z przedstawicieli centrum katolickiego, hr. Hertling...

Danie Niemcom „mocnej władzy centralnej", obiecywane już w programie hitlerowskim z roku 1920, obecnie zaś konsekwentnie wprowadzane w życie, burzy cały ów, sztucznie skonstruowany mechanizm tudzież zabezpieczoną nim hierarchję wpływów i znaczenia politycznego w Rzeszy. Zastąpienie dotychczasowych podziałów, wyniku przypadkowych nieraz kombinacyj dynastycznych, starszą o wiele tradycję mającemi rozróżnieniami terytorjalnemi i plemiennemi, mogłoby dać, jeżeli w tym kierunku potoczy się rozwój wypadków, nowy układ sił, nowy—w niejednem — wyraz obliczu duchowemu jutrzejszych Niemiec.

Ale nietylko ustrój prawno-państwowy Rzeszy dawał przewagę żywiołom północno-wschodnim, pruskim, ważniejszy jeszcze był czynnik psychologiczny autorytetu, jaki żywioły te w całem społeczeństwie niemieckiem sobie zdobyły. Naród niemiecki, rozbity i obezwładniony po pokoju westfalskim, musiał spoglądać z wzrastającym podziwem i zachwytem na niezwyczajną istotnie karjerą polityczną Prus i ich dynastji. Po Sedanie i wskrzeszeniu Cesarstwa pozycja ich stawała się wprost nie do podważenia. W całych Niemczech utrwaliło się przeświadczenie, że np. Wejmar może rodzić poetów, Monachjum — artystów, ale polityczne kierownictwo należy się bezwarunkowo Berlinowi, środowiskom luterańskim, junkierskim Bismarcków czy Bülowów. Ta suggestja była tak potężna, że nawet po klęsce r. 1918, dyplomacja Stresemannów i Curtiusów — w zmienionych warunkach — nie potrafiła zdobyć się na nic więcej nad kontynuowanie dawnej polityki Hohenzollernów, z jej dążeniem ekspansywnem na wschód, z jej przewodniemi ideami i celami. Czy i pod tym względem rewolucja hitlerowska nie umożliwia w psychice narodu niemieckiego głęboko sięgającej przemiany?

Bawiąc niedawno jako turysta w Niemczech, oglądałem w Erlangen, w pobliżu Norymbergi, lokal tamtejszej loży masońskiej „Libanon pod Trzema Cedrami". Loża ta, funkcjonująca do ostatnich czasów, po przewrocie narodowo-socjalistycznym rozwiązana, jest obecnie udostępniona publiczności, która zwiedza ją z upodobaniem jako zabytek tak niedawno dopiero minionej epoki obskurantyzmu. Wśród wielu rzeczy uwagę moją zwróciły tam dwa duże portrety: cesarza Wilhelma I i cesarza Fryderyka, w strojach członka i mistrza loży woluomularskiej. Wizerunek *Kaiser*'a, głupawo uśmiechniętego, w śmiesznym fartuszku—napewno nie dodaje powagi osobie sedańskiego triumfatora. Kto zna nastroje Niemców dzisiejszych, ich poglądy na masonerję i jej związek z żydostwem, łacno zda sobie sprawę, że obrazy takie — reprodukowane i rozpowszechniane na pocztówkach — usposabiają bardzo „rewizjonistycznie" wobec Hohenzollernów, wobec całego ich systemu politycznego i trafności obranej przez nich drogi.

I tu właśnie jest bardzo ważny punkt omawianego zagadnienia. Bo polityka Prus w ciągu ostatnich lat dwustu, z rozbiorami Polski jako najważniejszym sukcesem, mogła być prowadzona jedynie w stałej łączności, w stałem współdziałaniu zarówno z wolnomularstwem jak z żydami. Ta polityka imperjalizmu, której żydzi—jak zauważył słusznie Roman Dmowski [1]) — są naturalnym sojusznikiem i narzędziem, mogła wydawać się, do roku 1914, tak niezaprzeczenie korzystną dla narodu niemieckiego, że jakakolwiek krytyka jej poczynań zgóry byłaby skazana na niepowodzenie. Ale dziś bilans jej przedstawić się może już mniej zachęcająco. Ostatecznie, po dwu stuleciach gigantycznego wysiłku, granica niemczyzny na wschodzie posunęła się conajwyżej bardzo nieznacznie,

[1]) Roman Dmowski: „Przewrót", Warszawa 1934, str. 173 i nast.

gdyż utrzymanie Warmji oraz skrawków dawniejszych Prus Królewskich i Wielkopolski równoważy się, w niemałej mierze, stratą, nie należącej w chwili rozbiorów do Rzplitej, części Górnego Śląska. A wzamian za to—zjednoczenie Niemiec w sposób niepełny, bo dokonanie go z Prusami na czele, pod berłem Hohenzollernów, zgóry stawiało habsburską Austrją poza nawiasem tworzącej się, narodowo-państwowej wspólnoty. A wzamian za to—wzrost znaczenia żydów w życiu niemieckiem, szczególniej w dobie zaborczych planów Wilhelma II i kontynuującej tę politykę i tę współpracę — republiki Treviranusa i Schleichera...

Jest obowiązkiem publicystyki polskiej obserwować baczniej odbywające się dziś w Niemczech przemiany i wskazywać na rodzące się stąd dla narodu polskiego nowe możliwości i zadania.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

BOLESŁAW LIMANOWSKI. Osobistościom, głośnym z działalności publicznej i z walk politycznych, bardzo rzadko, zwłaszcza w Polsce, wymierzana jest sprawiedliwość, jako ludziom, Zwykle człowieka zasłania etykieta jakiejś partji, czyniąca z niego własność koterji. Nie zawsze trzeba o to winić opinję publiczną, najczęściej bowiem, w czasach roznamiętnionych walk, przy niskim poziomie kultury moralnej i politycznej, działacze sami nie zasługują na nic więcej, jak na horyzont swej koterji. Łatwiejszy był dostęp do ludzi w pokoleniach dawnych, fundujących swą działalność na szerokich podstawach ideowych. Do takich, powszechnie uznawanych ideowców należy Bolesław Limanowski, rozpoczynający w tych dniach setny rok życia.

Nic naturalniejszego, że prasa ogólna, nie tylko partyjna, notuje ten fakt długowieczności, daje on bowiem możność społeczeństwu złożenia sędziwemu rodakowi, wraz z życzeniami, wyrazów uznania za szlachetnie przeżyte lata.

Urodzony 30 października 1835 r. w Inflantach polskich, kształcił się na uniwersytetach w Moskwie i Dorpacie. Tam w kołach młodzieży podległ wpływom ówczesnych prądów filozofji społecznej. Limanowski był nie z tych społeczników, którzy w socjalizmie znaleźli swój zawód, a nawet religję. U niego sprawa społeczna ściśle zespalała się ze sprawą odbudowania Polski, jako Polski ludowej. Był ze szkoły H. Kamieńskiego i E. Dembowskiego, dla których „lud i naród" — to jedno. Spłynęły na niego tradycje Tow. Demokratycznego, działającego w kraju przez emisarjuszy, przysyłanych z emigracji. Wiąże się ten ruch ze spiskami galicyjskiemi 1832—1840, organizowanemi przez Goszczyńskiego, Smolkę i in., nie będących socjalistami.

W tym duchu działając, Limanowski w r. 1881 wespół z Z. Balickim i B. Wysłouchem zakłada we Lwowie „Przegląd Społeczny". Pod jego wpływawami Socjalna Demokracja w Polsce przybiera miano Polskiej partji. Limanowski nie był marksistą.

W r. 1860 w Paryżu zapisuje się do szkoły wojskowej Mierosławskiego i Wysockiego, aby się uzdolnić do walki orężnej o niepodległość. W r. 1861 na wieść o ruchu przybywa do Wilna i wchodzi do Komitetu Centralnego. Wkrótce aresztowany i zesłany na północ Rosji. Gdy po powrocie do kraju osiadł w Galicji, ukazywać się poczęły jego prace charakteru historycznego, mające niemałe znaczenie literacko-naukowe.

Dużą popularnością cieszyła się jego praca: „Stuletnia walka o niepodległość". Bardziej naukowe znaczenie ma dzieło Limanowskiego „Historja ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII wieku", Lwów, 1888 (Księg. Polska Bartoszewiczówny). S. 441. Niebawem ukazał się drugi tom p. t. „Historja ruchu społecznego w XIX stuleciu". Tamże, 1890. S. 500. Oba te dzieła uwzględniają szeroko historję pojęć społecznych w Polsce.

Ostatnie dzieło Limanowskiego nosi tytuł: „Stanisław Worcell". Życiorys z 27 rycinami — Kraków 1910. Spółka Nakładowa S. X i 419. Jest to poważne źródło do dziejów naszej emigracji.

W Polsce niepodległej Limanowski był — od roku 1922 — senatorem. Od pewnego czasu usunął się w zacisze domowe. Otacza go szacunek powszechny, jako człowieka czystego charakteru i dobrego Polaka.

NAUKA i LITERATURA

„FABJAN"

NIEMIECKA powieść żydowskiego autora jest już dzisiaj anachronizmem, chociaż datowana jest zaledwie z przed roku. Świadczy to o wielkości i zasięgu przemiany, jaka nastąpiła w Niemczech. Przeprowadzona tam została granica, po której przeciwnych stronach są rzeczy zupełnie różne. Książka Kästnera[1]) jest choćby z tego względu ciekawa, że pozwala zajrzeć poza tę granicę dzisiaj, kiedy okres po-hitlerowski stworzył już pewną perspektywę.

Książka nazwana jest powieścią. Ma jednak charakter raczej kroniki życia bohatera, spisywanej dzień dzień po dniu, bez znamion wysiłku konstrukcyjnego ze strony autora, za to z dokładnością, która nie pomija bardzo nawet drastycznych wydarzeń. Autor nie opuszcza bohatera (Fabjana) ani na chwilę. W tej wspólnej wędrówce zwiedzają w każdym niemal rozdziale najwymyślniejsze odmiany domów publicznych Berlina, tudzież całe szeregi prywatnych pokojów sypialnych. Książka wygląda potrosze na prospekt tego rodzaju instytucyj w Berlinie, zaś p. Krzywicka i jej podobni znaleźliby w niej wiele materjału źródłowego oraz przyczyną radosnej sensacji. Opisy są bardzo dokładne. Autor jednak nie bierze za nie odpowiedzialności. Obecności ich w książce nie usprawiedliwia ani potrzeba ekspresji, ani temperatura temperamentu autora, która zdradza raczej osłabienie.

Na tle tej atmosfery domu publicznego życie bohatera płynie linją przypadkową, nie mającą żadnych znamion konstrukcji. Życie beznadziejnie puste, w którem nic się właściwie nie dzieje. Nawet owe sprawy seksualne, które wypełniają wielką część tego życia, zdarzają się jakgdyby bez udziału woli i namiętności bohatera. Pustka. Niema w tej pustce rzeczy czarnych i białych, nie dlatego, aby wszystkie były czarne, czy wszystkie białe, ale dlatego, że znikło samo rozróżnienie czerni i bieli. I kiedy wreszcie, po upływie szeregu dni, wypaleniu szeregu papierosów, spełnieniu szeregu aktów płciowych bohater tonie, ratując tonącą dziewczynkę, śmierć jego przyjmujemy z zupełną obojętnością. Bo nawet i to ratowanie tonącej zdarza mu się przypadkiem, niechcący — tak mu się jakoś skoczyło do rzeki...

Podobnie biegną żywoty i innych osób w tej powieści. Jedyny człowiek, który czegoś chciał, przyjaciel Fabjana,

[1]) Erich Kästner — „Fabjan". Powieść, autoryzowany przekład Melanji Wasermanówny, Warszawa, 1933, wydawnictwo J. Przeworskiego.

Labude, ginie samobójczo naskutek wiadomości, że praca habilitacyjna, nad którą mozolił się przez pięć lat, została odrzucona. Wiadomość ta okazuje się potem fałszywą. Ale i tu nie odczuwamy żalu z powodu śmierci. Zakończyło się życie, które i tak było puste. Praca naukowa była w niem tylko narkotykiem.

Tak więc świat, przedstawiony w tej książce, sprawia wrażenie jakiejś dziwnej pustyni. Napozór rojnej, ale kiedy się zbliżymy, okazuje się, że to tylko piasek. Jedynie mdła, ckliwa duszność nie jest złudna.

Jednak i beznadziejność książki przepływa koło nas, nie zahaczając o nas. To jakiś inny świat, nie ten, w którym my żyjemy. Świat innej duszy. Z naszych okien świat jakoś inaczej wygląda. Przedewszystkiem zaś wogóle j a k o ś w y g l ą d a, gdy z okna Fabjana widać tylko chyba szarą mgłę, w której nawet najprostszy moment tragiczny — śmierć, która od początków naszej cywilizacji wstrząsa duszą, tutaj tonie w ogólnej, ckliwej szarości.

Jeżeli tak wyglądały Niemcy przedhitlerowskie — nie dziwimy się gwałtowności przewrotu. Nie oburzają nas stosy palonych książek, między któremi znalazła się pewno i omawiana powieść. Zaciekawia nas tylko, o ile się rzeczy zmieniły.

Czy powieść jest napisana dobrze? Trudno powiedzieć: zdaje się, że możnaby rozsypać ją na rozdziały i rozdziały te przetasować bez szkody dla całości. Możnaby czytać od końca. Możnaby wreszcie napisać jeszcze raz — to tak bez wysiłku idzie. Przypuszczam, że spalenie rękopisu tej powieści nie sprawiłoby autorowi większej różnicy, nie byłby on w położeniu Żeromskiego po stracie pierwszego rękopisu „Popiołów".

Ten pozór przypadkowości zawdzięczać niewątpliwie należy tendencji autora do przedstawienia życia w jego bezmyślnej, bezcelowej przypadkowości. Dobór przypadków jest tu zatem obojętny, nie stanowią one cegieł konstrukcji.

Przekład, jak to przekład — Melanji Wasermanówny. Miejscami nie poznajemy języka polskiego. W tym wypadku jednak nie należy z tego powodu czynić zarzutów. Książka przedstawia świat, którego analogon u nas mówi także językiem polskim, który jest nie do poznania. J. GR.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Szczęśliwą decyzję powziął Instytut Literacki, przystępując z prof. S t e f a n e m K o ł a c z k o w s k i m, jako redaktorem, do wydawania kwartalnika, poświęconego sprawom literatury i kultury. Poczynanie wydawnictwa tego typu nie byłoby samo przez się zdarzeniem ważnem, tyle bowiem już było takich prób. Ale co innego jest przedsiębranie takiej rzeczy dla samego zorganizowania sił pisarskich, mogących dać jakąś pracę (tak zwykle bywa), a co innego mieć pewną myśl do zrealizowania. Kwartalnik pt. „M a r c h o ł t" reprezentuje inicjatywę ideową i to odpowiedzialną, bo mającą swego wykonawcę w osobie redaktora, prof. Stefana Kołaczkowskiego. „Marchołtem" jest właśnie on sam.

Na czem inicjatywa ta polega? Jak wnosić można z bardzo interesującego zeszytu pierwszego, a przedewszystkiem, z odezwy programowej redaktora, oznacza ona w nauce literatury zwrot od filologizmu do filozofizmu, od formalizmu i skrzętności bibljograficznej do poszukiwania wartości, a tutaj od scholastyki formalistycznej do personalizmu, poszukującego w utworze indywidualności żywej i kultury duchowej.

„Kult nauki"—czytamy w prospekcie — „i jednostronny intelektualizm w naszem wychowaniu przyczynił się i przyczynia się do niechęci względem wartościowania, lub do nieśmiałości i nieporządności w tej dziedzinie. Stąd zobojętnienie na świat wartości i uchylanie się od ocen, występujące pod różnemi maskami, a najczęściej w formie obłudnie pojmowanego objektywizmu. W aureolę czci dla tego fetysza stroi się wszelki oportunizm, akademizm i bezpłodność. Nie brak i takich, którzy świat wartości uważają za dziedzinę niegodną badań naukowych".

Musimy przyznać, że jest to odruch bardzo zdrowy. Wiemy po sobie w „Myśli Narodowej", jak trudno nam się było dogadać z pseudo-estetami i poszukiwaczami rzeczywistości bylejakiej w życiu, ze stanowiska tych wartości narodowych, którym myśl nasza drogę toruje. Oczywiście i w dziedzinie wartości na różne ich strony można kłaść nacisk. Prof. Kołaczkowski będzie humanistycznym czcicielem indywidualności, Artur Górski, w którym redaktor znalazł świetnego współpracownika, szuka wartości metafizycznych. Pewno znajdzie się w piśmie miejsce i na wartości twórcze narodowe. Mickiewicz, pod którego znakiem pierwszy zeszyt „Marchołta" wyszedł, silny był właśnie tem, że łączył te trzy stanowiska w syntezie myślenia narodowego.

Pierwszy zeszyt „Marchołta", bardzo udatny i ważki, jaknajlepszą wróży mu przyszłość. Oprócz St. Kołaczkowskiego widzimy tam autorów: Artura Górskiego, Zofję Szmydtową, R. Ingardena, D. Wielucha, a w beletrystyce Tadeusza Makowieckiego i nowy talent nowelistyczny p. Agnieszkę Osiecką. Prof. Kołaczkowski zamieścił rozprawę, mającą znaczenie programowe dla pisma, pt. „W sprawie reformy studjów polonistycznych". Uwagi pod adresem prof. Kleinera doskonale uzupełniają argumentację tamtej rozprawy.

*

Dr. A l e k s a n d e r M a c i e s z a ogłosił dwie prace: 1° „Typy antropologiczne ludności wczesno-historycznej Mazowsza Płockiego" (Czaszki płońskie z X — XII wieku, zebrane przez L. Rutkowskiego, wydawnictwo „Wiadomości Archeologicznych", Państwowe Muzeum Archeologiczne, Warszawa, tłoczono czcionkami „Drukarni Państwowej" w Warszawie); 2° „Osobnik, jako przedmiot studjów antropologicznych" (Poznań, 1934, wydawca prof. dr. Adam Wrzosek w Poznaniu). Autor od lat pracuje nad antropologją i przeprowadza samodzielne badania. W zestawieniu typów antropologicznych ludność Mazowsza uzupełnia rezultaty swych poprzedników, między którymi na terenie Mazowsza szczególnie zasłużył się Leon Rutkowski. „Ten skromny lekarz prowincjonalny Płońska"—„pozostawił bogatą spuściznę antropologiczną. Prace jego, umieszczane w „Materjałach antropoarcheologicznych Akademji Umiejętności" oraz w „Światowidzie" przyczyniły się znacznie do postępu antropologji w Polsce i dały poważne argumenty, popierające tezę Niederlego o pierwotnej długogłowości Słowian". Zbiory, pozostawione przez dr. Rutkowskiego, zawierające materjał współczesny i materjał z szeregu dawniejszych stuleci, obecnie w Muzeum Djecezjalnem w Płocku, w Muzeum im. Erazma Majewskiego i w Instytucie Nauk Antropologicznych, posłużyły autorowi do wysnucia cennych dla nauki wniosków. Odtwarzają wygląd ludności w minionych wiekach, stwierdzają wpływy migracji, nawarstwień i infiltracyj, wskazują szlaki komunikacyjne, idące przez Mazowsze Płockie, i ich wpływy na strukturę antropologiczną. Poza temi wnioskami, ujętemi w tablice orjentacyjne, autor wypowiada interesujący pogląd na temat konieczności współpracy medycyny z antropologją i możliwości osiągnięcia dla rozwoju tych nauk obustronnych korzyści. (A. W.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WPŁYWY

PISAŁEM już na tem miejscu o najeździe młodych krakowian — *via* Paryż — na Warszawę, o „Związku Plastyków", „kapistach", o ich poglądach i apetytach. Ci ostatni są bardzo ruchliwi: co drugi „kapista" pisze, a co trzeci maluje. W „Głosie Plastyków", czasopiśmie Związku, trzymają pierwsze skrzypce, teraz zaś uzyskali nowy teren dla swej działalności. Okoliczności, w których ta sprawa dojrzała, nadają jej posmak pewnej pikanterji. Mianowicie Legjon Młodych w Krakowie miał kłopot z wynalezieniem nowego celu na wydawanie pieniędzy. Zwiedzieli się o tem „kapiści", oraz plastycy ze Związku i dalejże z propozycją: „nie wiecie, co robić z pieniędzmi? dajcie nam — będziemy wydawać tygodnik artystyczny".

W ten sposób powstała „Gazeta Artystów" i Legjon Młodych stał się niespodziewanie Mecenasem. Ponieważ „Gazeta Artystów" ukazuje się daleko częściej, niż „Głos Plastyków", ma przeto możność uwzględniania w szerszym zakresie spraw codziennych i aktualności życia artystycznego.

Korzysta z tego skwapliwie, poświęcając wiele miejsca i zapału przedewszystkiem obrabianiu swych przeciwników, w sposób czasem dowcipny, częściej bardzo niewybredny. Są to czynności mało produkcyjne, choć niewątpliwie ciekawe dla gawiedzi. Interesuje ją widok takiej bójki na pióra: a to mu dojechał, a to mu dosolił, no, ciekawe, co on teraz mu na to odpisze, czytaliście ostatni numer „Gazety"?... i t. p. Podobne odezwania się świadczą może o atrakcyjności pisma dla jego czytelników, lecz wątpliwe, czy są także dowodem pożytku, odniesionego z takiej lektury. Należy żywić także obawę, czy angażowanie się artystów w takie bijatyki słowne nie jest dla nich również tylko stratą czasu. Młodzi artyści, wychowankowie Warszawskiej Akademji, zrzeszeni w „Bloku Plastyków", powinni się wystrzegać przed wciągnięciem ich w to bagienko wzajemnych wymyślań, tak dobrze prosperujące na pożywce krakowskiej atmosfery.

Nie odpowiadając sztychem na sztych, zwłaszcza tak mało wytworny, dobrze byłoby natomiast rozwinąć dyskusję, w tych wszystkich wypadkach, gdy staje się ona możliwa, czy to z powodu ważkości poruszanego zagadnienia, czy też z racji kulturalniejszej już formy wypowiedzi swych tez. Do takiej dyskusji, nawet bardzo poważnej i obszernej, daje okazję, ale tylko w pewnych fragmentach, artykuł Wł. Strzemińskiego p. t. „Blokada sztuki", w Nr. 3 „Gazety Artystów". Pominąwszy te wszystkie ustępy, w których autor okazał świadomie złą wolę, udawał, iż nie rozumie, o co chodzi, lub rozmyślnie fałszował sens twierdzeń przeciwnika (Cieślewskiego), znajdujemy tam punkty, o które, gdy się zahaczy, można, a nawet trzeba polemizować. Muszę jeszcze wyjaśnić, że artykuł Strzemińskiego jest odpowiedzią na artykuł-odezwę T. Cieślewskiego syna, wydrukowany w kilku pismach w lecie b. roku. Do wystąpienia z tym artykułem został Cieślewski upoważniony przez „Blok Plastyków" i aczkolwiek był on podpisany indywidualnie, tem nie mniej wyrażał do pewnego stopnia poglądy całego Bloku na sprawy i zadania sztuki.

Autorzy obu artykułów będą jeszcze zapewne w polemice z sobą atakować poszczególne pozycje swych twierdzeń — to ich sprawa — ja przechodzę wprost do tych poglądów Strzemińskiego, które dostarczają materjału do wspomnianej już przezemnie dyskusji. Mianowicie Strzemiński twierdzi: wy nam zarzucacie niewolnictwo artystyczne, naśladowanie wzorów francuskich, zależność od Paryża, a sami naśladujecie plastykę Niemców. Tego twierdzenia nie uzupełnił Strzemiński uwagą dodatkową, którą powinien był zrobić (gdyż to wynika z jego stanowiska), że wpływy francuskie uważa za pożyteczne i wskazane, a niemieckie — za szkodliwe.

Słowa „wpływy" nie należy zbyt uogólniać, a tem mniej umieszczać w tem pojęciu wszystkiego, co może wyrażać stosunek jednej kultury do drugiej. Mogą istnieć pewne podobieństwa między dwiema, naogół różnemi kulturami dwu narodów, bardziej już zbliża je oddziaływanie na siebie (czasem wzajemne), potem z kolei idą wpływy, szkodliwe, gdy zbyt silne i jednostronne, wreszcie, całkowicie już zgubna, zależność, która prowadzi do zaniku indywidualności narodowej. Odległość między podobieństwem a zależnością, niewolnictwem artystycznem, jest zbyt duża, by nie trzeba było, przy stawianiu zarzutu, precyzować, o co chodzi. Strzemiński tego nie zrobił. Dlatego sami musimy rozpatrzeć każdą z wymienionych ewentualności, by ocenić, czy twierdzenie Strzemińskiego jest słuszne i czy może być zarzutem. Nikomu nie przyjdzie, np. do głowy rozpaczać z tego powodu, że sztuka Wita Stwosza jest bliższa ówczesnej plastyce niemieckiej, niż francuskiej. Dopiero wykazanie, czarno na białem, szkodliwości jakiegokolwiek kontaktu z kulturą plastyczną Niemiec przesądziłoby sprawę. Ale postawienie takiej tezy jest conajmniej ryzykowne.

Dziś, gdy tyle się mówi o rasizmie i cechach właściwych każdemu narodowi, nie docenia się w równym stopniu okoliczności, które, obok pochodzenia, niemniej ważną odgrywają rolę w kształtowaniu oblicza sztuki danego narodu. Z Francją łączy nas to wszystko, co wynika z długotrwałej przyjaźni i, przedewszystkiem, kultura łacińska. Jeśli chodzi o Niemcy, sprawa ma się inaczej, ale nie zapominajmy, iż Niemcy znajdują się t u ż o b o k n a s, w najbliższem sąsiedztwie. Klimat i gleba obu krajów w znacznej części są bardzo podobne, czego już nie można powiedzieć, porównywając Polskę z Francją. To są fakty, wcale dla naszej sztuki nie obojętne. Nonsensem byłoby zamykanie oczu na wszystko, co z tych faktów w konsekwencji płynie. Określenie: sztuka północy lub południa, nietylko wskazuje teren, na którym jej dzieła powstały, lecz, co ważniejsze, oznacza za każdym razem zupełnie inne cechy tych dzieł.

Niewątpliwie Polska, jeśli chodzi o pewne gałęzie jej plastyki, np. sztukę dekoracyjną, znajduje się w gronie narodów północy. Tu też należy umieścić Niemców, sztukę dekoracyjną Skandynawów i t. d. Stwierdzając styczność obu gałęzi sztuk plastycznych w pewnych punktach, nie możemy jednak na tem poprzestać, nie określając zarazem możliwie dokładnie stopnia tego pokrewieństwa. Czasem to tylko przybliża wartość A do wartości B, że A do C jest jeszcze mniej podobne. Współczesny drzeworyt amerykański np., porównany z drzeworytnictwem Niemiec i Polski, bardziej różni się od grafiki niemieckiej, więc w klasyfikacji ogólnej znajdzie się bliżej Polski, niż Niemiec. Jest to porównanie dosadne, lecz do pewnego stopnia charakterystyczne i dla naszej sprawy. Od takich „podobieństw" do zależności jeszcze bardzo daleko.

Strzemiński przeciwstawia pro-paryskie dążenia malarzy swej grupy rzekomemu zamiłowaniu ku przebrzmiałej „secesji" niemieckiej „plastyków" z warszawskiego „Bloku". W tem zestawieniu przemilcza jednak malarzy z „Bloku", wymieniając jedynie grafików („Ryt") i członków „Ładu". Takie zestawienie odmiennych dziedzin sztuki dwu obozów artystycznych dość dziwnie wygląda. Pomija się malarzy, czyżby dlatego, iż najłatwiejszemi do zaatakowania pozycjami wydały się Strzemińskiemu „Ład" i „Ryt"? Otóż, jeśli o sztukę dekoracyjną chodzi, muszę mu przypomnieć, że „secesja" grasowała we Francji daleko dłużej, niż w Niemczech; jeszcze na „Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych" w Paryżu, w 1925-tym, widzieliśmy liczne jej okazy w dziale francuskim. Skierowanie więc i tego działu naszej sztuki pod ulubiony przez Strzemińskiego adres byłoby przysłowiową zamianą siekierki na kijek.

Powracając do sedna naszej sprawy, trzeba z całym naciskiem zaznaczyć, że, obok określenia zakresu i roli wpływów, równie ważne jest określenie stanowiska artysty wobec wartości, jakie wchłania w siebie. Wyobraźmy sobie dwa zasadnicze typy. Jeden powiada: ja wiem, że poddaję się w nadmiernym stopniu wpływom, staram się z tem walczyć, pragnę, by sztuka moja wyrażała najdobitniej właściwości narodu, do którego należę, może mi się to nie udaje, lecz wiem, że powinno to być ambicją każdego poważnego artysty. A drugi mówi, że dla niego pojęcie sztuki narodowej nie istnieje, że to są faramuszki, mrzonki, wogóle głupstwa; pisząc, umieszcza te dwa słowa w ironicznym cudzysłowie; jemu chodzi tylko o dobre malarstwo, wzorem jest Paryż, więc naśladuje ten niedościgniony wzór.

Tu już, jak widzimy, nie kwestja wpływów odgrywa rolę, ale zupełnie co innego. I to jest bodaj najważniejsze. Większość członków Związku Plastyków („kapiści" przedewszystkiem) zajmuje zwykle to drugie stanowisko. Powyższe zrozumienie roli artysty różni nas właśnie najbardziej, a nie możliwość wykrycia, tu takich, tam innych wpływów albo samo malarstwo paryskie jako takie.

Do sprawy, poruszonej teraz tylko w zarysach, wypadnie zapewne jeszcze powrócić.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„KŁOPOT Z PAPĄ"

SZTUKA pt. „Kłopot z papą" grana obecnie w Teatrze Letnim jest produktem wiedeńskim. Napisał ją jakiś p. Z. Geyer, o którym nic dotychczas nie słyszeliśmy w Warszawie. Przetłumaczył ją i zlokalizował, przerabiając stosunki austrjackie na polskie p. Adolf Hetz.

Sztuka została nazwana na afiszu komedją, naszpikowano ją mnogiemi dowcipami, ale jest właściwie uinscenizowaną powiastką obyczajową z pierwiastkiem moralizatorskim. Liczy aż sześć przydługich odsłon.

W pierwszym akcie pokazano nam prowincjonalny sklep z materjałami piśmiennemi. Rzecz się dzieje zaraz po wojnie, w okresie inflacji. Zeszyt szkolny kosztuje kilkadziesiąt tysięcy, a butelka atramentu miljon, czy więcej. Właścicielem owego sklepu jest bardzo sympatyczny mieszczanin, człowiek niemal sześćdziesięcioletni, kochający młodzież, dobry obywatel, kupiec miłujący swój zawód, znający się wybornie na branży papierniczej: robi wcale niezłe interesy. Ma on troje dorosłych dzieci, które wychował starannie i które „wyszły na ludzi". Mieszkają one w Warszawie. Jeden syn jest bankierem, drugi kieruje wielką fabryką. Córka zaręczyła się z dyplomatą. Otóż dzieci owe uznały, że prowincjonalny sklep ojca jest dla nich czemś kompromitującem. Postanowiły zmusić staruszka, aby sklep sprzedał i przeniósł się do Warszawy. Zostanie bogatym rentjerem, będzie sobie żył wygodnie i beztrosko. Będzie mógł często dzieci widywać, no i nie będzie im przynosił wstydu swoją... papeterją.

Póty błagają ojca, aby uczynił tę ofiarę dla ich szczęścia, aż staruszek z ciężkiem sercem się zgadza. W odsłonach następnych widzimy go w stolicy. Czuje się tam źle i nieswojo. Dzieci są zajęte interesami i życiem światowem, więc odwiedzają go rzadko. Lekarze dręczą go gimnastyką i djetą. Biedak nie może się przystosować do nowego środowiska. Jest nieobyty z życiem towarzyskiem. Na jakimś wieczorze proszonym zjawia się we fraku i żółtych butach, z czego dzieci jego są bardzo niezadowolone. Jednem słowem, jest mu na bruku stołecznym źle. Najbardziej dolega mu bezczynność. Posiada jeszcze dużo sił żywotnych, a pozbawiono go możności pracy.

Tragedja pana Kajetana Strusia (tak się ów kupiec zowie) przedstawiona jest przez autora w sposób bardzo naiwny. Tło obyczajowe podmalowano barwami nieprawdopodobnemi. Charaktery nakreślono w sposób schematyczny i szablonowy. Przytem przedstawiono je niekonsekwentnie. Ten sam człowiek, który w mieścinie prowincjonalnej robił wrażenie kogoś wartościowego, mądrego i sympatycznego, odrazu w Warszawie zmienia się w pajaca, naiwnego prostaka i głupca. Nieprawdopodobnie przesadny jest również snobizm dzieci, wstydzących się sklepu ojcowskiego. Byłby wiarogodny w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Dzisiaj wygląda anachronicznie. Nie możemy również zrozumieć, z jakiego powodu ci snobistyczni parwenjusze wciągają gwałtem do salonów człowieka, który do fraka wkłada żółte buty. Przecież daleko mniej kompromitowałby ich, zostając za ladą swojego sklepu.

Podobnych niekonsekwencyj możnaby wytknąć bardzo wiele. Ale są w sztuce również momenty udane. Należy do nich jedna odsłona (zdaje się czwarta), w której pan Struś, zrozpaczony nieróbstwem, na jakie wbrew woli został skazany, znajduje sobie w Warszawie nowe pole do pracy. Wynalazł mianowicie jakiś świeżo otworzony, a już bankrutujący sklep z materjałami piśmiennemi, prowadzony przez nie mającą zielonego pojęcia o handlu wdowę po profesorze gimnazjalnym. Zaofiarował jej swoje usługi, jako subjekt. W krótkim czasie doprowadza interesy do stanu kwitnącego i... żeni się z właścicielką sklepu.

Parę scen z tej odsłony mogłoby się znaleźć w dobrej komedji i nie przyniosłoby jej wstydu. Płaski pajac z odsłon poprzednich zmienił się znów w żywego człowieka z aktu pierwszego. Dobrze odmalowano stan duszy tego przedwczesnego emeryta, który przez parę tygodni godzinami wystawał przed upatrzonym sklepem, obserwował jego klijentelę, odgadywał stan interesów, zanim zdecydował się narzucić właścicielce swoją współpracę. Ale i w tej odsłonie są sceny zupełnie nieprawdopodobne: naprzykład interwencja trojga dzieci, które, dowiedziawszy się, że pan Struś znowu „para się kupiectwem", przybywają w komplecie do papeterji i urządzają ojcu awanturę.

Sztuka kończy się w roku 1934. Dyrektor fabryki i bankier zbankrutowali. Córka zamężna za dyplomatą zawiodła się na swoim mężu. Kryzys jednak oszczędził paperję pana Strusia, który jest bardzo szczęśliwy w pożyciu małżeńskiem z wdową po profesorze. Dzielny staruszek zdobył się nawet na jeszcze jedno dziecko. W rezultacie obaj synowie i żona dyplomaty zwalają się na kark ojcu, który wszystkim trojgu daje u siebie posady.

Żeby tych sześć odsłon zredukować do trzech, żeby wypruć z nich mnóstwo balastu niepotrzebnego, żeby uprawdopobnić charaktery, dałaby się zapewne z „Kłopotu z papą" zrobić komedja wcale niezła. W tej formie jednak, w jakiej ją nam pokazano, jest utworem ciężkostrawnym. Należałoby ją całkowicie przerobić.

Aktorzy robią, co mogą, żeby widowisko ożywić. Główną rolę gra Fertner. Chwilami po farsowemu, chwilami po komedjowemu. W tych miejscach sztuki, gdzie znajduje należyte oparcie w tekście — gra jego jest świetna. W miejscach słabszych ratuje sytuację konceptami, które znajdują poklask na galerji, które jednak obniżają styl gry. Oprócz Fertnera wyróżniają się pp.: Jarszewska, Muncligrowa, Janecka, Łapiński, Karczyński. Role, grane przez pp.: Mieleckiego, Nakoneczną i Hnydzińskiego (dzieci pana Strusia) nie z ich winy wypadły słabo.

ZASTĘPCA

OFENSYWA

SAMOPASOŻYD

FANATYCZNYM entuzjastą najnowszej, najostatniejszej beletrystyki rosyjskiej (sowieckiej) zrobił się ostatnio wytworny, wykwintny, szykowny i delikatny poeta p. Wittlin. Z Lodomerry *natus*, czyta te powieści i opowiadania (którymi teraz zasypany nasz rynek księgarski) tylko w tłumaczeniach (dobrych) i jest wprost wniebowzięty. Tu odkryta dlań krynica szczęścia: *Neuland*.

Ale ma też zmartwienia i zgryzoty wytworny, wykwintny, delikatny i szykowny essayista Wittlin. To cała reszta świata, obie półkule burżujskie, w których tu i owdzie, raz po raz, ni stąd, ni zowąd, wybuchają nieprzyjemne afery to ze złotą, to znów z czerwoną Międzynarodówką czyli Anonimowem Mocarstwem. Apostoł i propagator sowieckiej twórczości lamentuje z powodu tych to „popędów", to „pogromów, prześladowań i ucisku bezbronnych" (*sic*) a Bogu ducha winnych współrasowców: „Żydów nienawidzono i poniżano od t. zw. zarania ludzkich dziejów: Z a c o? Niełatwo na to wskazać wyczerpującą odpowiedź".

Za co? *Za czto?* Gdzie źródła tej „klasycznej niechęci licznych zbiorowisk ludzkich do jednego plemienia"? Z a c o? Skąd ta „najniewdzięczniejsza (*sic*) forma nienawiści bliźniego"? Dlaczego „wędrowny puhar narodów, napełniony krwią (*sic*) żydowską, przechodzi z rąk do rąk"? Z a c o? Nie bez Heinowskiego sarkazmu przyznaje p. Wittin, że żydzi „aniołami nie są", ale dodaje jadowicie: „jakkolwiek pierwsi aniołowie, serafini i cherubini rekrutowali się zapewne z żydów". I pisze:

„W chwili obecnej nienawidzi się żydów za: odrębność, asymilację, produktywność, pasorzytnictwo, zamożność, ubóstwo, postępowość, zacofanie, oświecenie, ciemnotę, zalety i wady. Bije się ich za to, że nie wyznają Nowego Testamentu, tudzież za to, że autorami Nowego Testamentu byli żydzi. Gardzi się nimi za chuderlawość i nienawidzi za wybitne sukcesy sportowe. Ponadto za: nacjonalizm, imperjalizm, kapitalizm, demokrację, liberalizm, socjalizm, komunizm, humanitaryzm, pacyfizm, militaryzm, ekspresjonizm, surrealizm, neokatolicyzm, za nosy i wymowę, Freuda i Einsteina, Heinego i Chaplina".

Otóż to są ironiczne dowcipuszki, a conieco szmoncesowate. Z a c o „nienawidzi się" (?) żydów dzisiejszych, o tem mogłaby pouczyć p. Wittina lektura Starego i Nowego Testamentu, czytywanie proroków, dalej żydzi: Weininger, Cohen, K. Marx, Kraus, Reinach, O. Loevy-Neuman i wielu, wielu innych. Uciskana „niewinność" to nie jest; raczej uciskająca. A z a c o niechęć? Za *moral in Semity*, za h y p e r p a r a z y t y z m, za *superiority-complex* i za s h y l o c k r a c j ę. Przedewszystkiem zaś za pierwsze.

Krakowski „Czas", wieloletni jubilatowy protektor, orędownik i współwinowajca hegemonji żydów w Polsce, sformułował ostatnio w ten sposób swoją spóźnioną *mea culpa*:

„Dla zachowania jednak absolutnie negatywnego stanowiska wobec antysemityzmu jedna rzecz jest niezbędna, a mianowicie nie branie nigdy do ręki „Naszego Przeglądu".

Tak. To jest także „życie ułatwione". Nie brać do ręki ani „Naszego Przeglądu", ani „Nowego Dziennika" ani „Chwili", ani tygodników semickich, nie brać do ręki „*Paris Soir*", „*Ere Nouvelle*", „*Pester-Lloyd*", „*Prager Presse*", „*New York Times*", „*Manchester*'a", no to wtedy można zachować „absolutnie negatywne" stanowisko.

Nie można natomiast absolutnie zachować tego absolutnie negatywnego stanowiska, jeżeli się studjuje np. surogat także i pewnej twórczości literackiej, to jest naszą kroniką kryminalistyczną, czyli dzieje grzechów, przestępstw i kolizyj z etyką i z prawem Boskim i ludzkim w państwie, w którem żydzi stanowią tak olbrzymi, balastowy odsetek.

Otóż tej kroniki kryminalistycznej ani torysowski „Czas" nie śledzi, ani do niej, oczywiście, nie zagląda tak subtelny esteta jak p. Wittlin. Statystyka zaś powiedziałaby im tak łatwo i wyczerpująco o olbrzymim odsetku Semitów w tej dziedzinie, że i p. Wittlin już nie stawiałby Tołstojowskiego pytania: „*Za czto?*"

W kryminałach w Polsce w październiku r. 1933 siedziało 40.111, a w październiku bieżącym siedzi 42.706. „*Za czto?..*" i w jakim procencie reprezentowana tam nasza „*uciskaną mniejszość*", to już dałoby panu Wittlinowi odpowiedź dokładną na jego lamenty. Zaprzątać umysł wyrafinowane go „stylisty" brzydkiemi i ciemnemi aferami, oczywiście nie byłoby sensu. Polecałoby się natomiast do łaskawej uwagi i uwzględnienia tylko jedną dziedzinę z tego *mare tenebrarum*, to jest to, co pozwalamy sobie nazwać h y p e r p a r a z y t y z m e m, względnie s a m o p a s o ż y d n i c t w e m.

W dramacie W. Hugo o Cromwellu mówi Manasse słynne zdanie, przez profesjonalnych antysemitów często cytowane tj.:

„*Car tromper un chretien est chose meritoire*"".

Otóż powiedzenie jest tendencyjne, ale nie jest ścisłe. W tak olbrzymiem skupisku Semito-Chazarów jak nasze, każdy dzień przynosi dokumenty oszukiwania (*tromper*) i pasożytowania, ale bynajmniej nie tylko chrześcijan i na chrześcijanach, lecz równolegle i wcale często na... sobie samych. Możnaby na udowodnienie takiego niesporadycznego a nagminnego pasożytnictwa wręczyć z ostatnich miesięcy olbrzymie naręcze skolekcjonowanych przykładów. Z kartoteki, jak z rękawa, całą setkę. I jużby poeta Wittlin miał na swoje: z a c o? Z a c o? Przygodnie niech sobie przygodny entuzjasta Sowietów każe opowiedzieć conieco o „Ostatniej posłudze", o bratobójstwie Kittów, o oszustwach w „*Lodzer Tagblatcie*", o defraudacjach w „Towarzystwie antihitlerowskiem", o cmentarzu żydowskim w Białej, o Szmuglewiczach ze Zgierza, o procesie Lande-Rundo (mydło „Lotos"), o przemytniku emigrantów Segałowiczu (Kalisz) etc. etc.

My tu ograniczymy się tylko na jednym rekordzie hyperparazytyzmu.

Ponieważ p. Wittlin zachwyca się obecnie literaturą komunistyczną, przeto przykład będzie wzięty z życia i obyczajowości naszych komunistów. Tymczasem o niejakim Goldbergu, Goldbergu nr. *zwei.*

Goldberg nr. *eins*, M. Goldberg aresztowany został we Lwowie jako kierownik Centralnej Techniki K. P. Z. U. wraz z Salcmanem i t. p. Goldberg... Ukrainiec.

Goldberg nr. 2 rozprawa odbyła się 29.9 w Radomiu, ale przy drzwiach zamkniętych. *Za czto? Za czto*? Dowiadujemy się o tem z głosów prasy lokalnej:

„Goldberg był oskarżony o zamordowanie przywódcy radomskich komunistów, Grosberga. Ten ostatni był to znany policji i niejednokrotnie karany złodziej, który w mieszkaniu swojem urządzał zebrania partyjne, połączone z ohydnemi orgjami erotycznemi. W orgje te usiłował wciągnąć narzeczoną Goldberga, która jednak uciekła z mieszkania rozpustnika i opowiedziała wszystko narzeczonemu. Zaraz na następnem zebraniu komunistycznem Goldberg uderzeniem noża zamordował Grosberga".

Można ręczyć że ani... „Czas" krakowski, ani p. Wittlin nic o tej sprawie nigdy nie słyszeli. Oczywiście, współczucie w tym wypadku raczej jest po stronie Goldberga. Grosberg natomiast urasta do rozmiarów olbrzymiego symbolu...

Czy i w tym wypadku p. Wittlin (entuzjasta sowieckiej beletrystyki) gotów byłby żałośnie zapytywać się: *za czto*? za co? za co?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Pan Cat w „Słowie" wileńskiem, wyskakując na jednej nodze i klaszcząc w rączki, raduje się, że polityka polska zerwała z przesądem nietykalności Traktatu Wersalskiego.

— Będziemy rewidowali granice!

— A kto panu zagwarantuje, że to bezpieczne będzie dla Polski?

— Pan nie wie? Studnicki!

*

Niejaki Mateusz Mieses w żydowskim „Naszym Przeglądzie" uczenie wywodzi, że żydzi nie są semitami.

— Co on na tem zarobi? — pytają żydzi.

— To wielki interes. Jak on to udowodni, to bardzo głupią minę będą mieli antysemici. Są antysemici, a niema semitów!

— Wiesz pan co, ja myślę, niech p. Mieses udowodni, że niema wcale żydów. To będzie pewniejszy interes.

*

Szulery polityczne wyszukują, na jakiby kolor grać. Biały nie, czerwony już nie idzie — niech będzie dla odmiany szary.

— Szary człowiek! Wiecie, że to idea! Można z tego zrobić kurs polityczny. Najwięcej jest szarych ludzi. Każdy jeden niewiele ma w kieszeni, ale jak się zbierze wszystkich do kupy, to może być coś.

— Mówiono: elita! Co się dało, to się z niej ściągnęło. Teraz hołysze. Karmazyny psiakrew, lewjatany!

— Oczywiście, trzeba z tem skończyć. Niema to, jak szary człowiek.

— Tak, lud — to potęga!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM